

LEÏLA
SLIMANI

W OGRODZIE
POŻĄDANIA



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

MADAME BOVARY
NASZYCH CZASÓW

LEÏLA
SLIMANI

W OGRODZIE
POŻĄDANIA

Z języka francuskiego przełożyła
Agnieszka Rasińska-Bóbr



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:

DANS LE JARDIN DE L'OGRE

Copyright © Éditions Gallimard, 2014.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bożena Sęk

Korekta: Magdalena Bargłowska, Aleksandra Mól

ISBN: 978-83-8110-445-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Moim rodzicom

„Nie, to nie ja – to ktoś inny cierpi.
Ja nie mogłabym tak (...)”.

Anna Achmatowa, *Requiem*,

przeł. L. Lewin

„Zawrót głowy to coś innego niż lęk przed upadkiem. Zawrót głowy oznacza, że nas ta głębia pod nami przyciąga, wabi, budzi w nas pragnienie upadku, przed którym bronimy się strachem. (...) Moglibyśmy nazwać zawrót głowy pijaństwem słabości. Człowiek uświadamia sobie swą słabość i nie chce się przed nią bronić; pragnie jej się poddać. Słabość go upija, chce być jeszcze słabszy, chce upaść pośrodku placu, na oczach wszystkich, chce być na dnie, jeszcze niżej niż na dnie”.

Milan Kundera, *Niežnośna lekkość bytu*,

przeł. A. Holland

Wytrzymała już tydzień. Od tygodnia się nie poddała. Adèle była grzeczna. W ciągu czterech dni przebiegła trzydzieści dwa kilometry. Pokonała trasę od Pigalle do Pól Elizejskich, od muzeum Orsay do Bercy. Biegała rankiem po pustych bulwarach. Nocą aż do boulevard Rochechouart i place de Clichy. Nie piła alkoholu i kładła się wcześniej spać.

Ale tej nocy śniła o tym i potem nie mogła już zasnąć. Lepki, niekończący się sen wszedł w nią jak powiew ciepłego powietrza. Adèle myśli tylko o jednym. Wstaje, wypija bardzo mocną kawę w uśpionym domu. Stoi w kuchni, przestępuje z nogi na nogę. Pali papierosa. Pod prysznicem ma ochotę się drapać, rozerwać sobie ciało na dwoje. Wali głową w ścianę. Chce, by ktoś ją chwycił, roztrzaskał jej czaszkę o szybę. Gdy tylko zamyka oczy, słyszy hałasy, westchnienia, krzyki, razy. Nagi dyszący mężczyzna, kobieta przeżywająca rozkosz. Chciałaby być tylko rzeczą pośród hordy, pożeraną, ssaną, połykaną w całości. Chce, by ktoś szczypał jej piersi, gryzł w brzuch. Chce być laleczką w ogrodzie olbrzyma.

Nikogo nie budzi. Ubiera się w ciemności i z nikim się nie żegna. Jest zbyt zdenerwowana, by się do kogokolwiek uśmiechnąć, rozpocząć poranną rozmowę. Adèle wychodzi z domu i idzie pustymi ulicami. Ze spuszczoną głową, czując mdłości, schodzi do stacji metra Jules Joffrin. Wzdryga się na peronie, gdy po czubku jej wysokiego buta przebiega mysz. W wagonie Adèle rozgląda się dookoła. Obserwuje ją mężczyzna w tanim garniturze. Ma źle wyczyszczone szpiczaste buty i owłosione dłonie. Jest brzydki. Z braku laku mógłby jej wystarczyć. Podobnie jak student, który trzyma w objęciach dziewczynę i całuje ją w szyję. Jak pięćdziesięciolatek, który stoi przy szybie i czyta, nie podnosząc na nią wzroku.

Bierze wczorajszą gazetę z siedzenia naprzeciwko. Przewraca kartki. Tytuły się zlewają, nie potrafi się skupić. Odkłada ją z irytacją. Nie może tu zostać. Serce wali jej w piersi, dusi się. Rozluźnia szalik, zsuwa go wzdłuż spoczonej szyi i kładzie na pustym siedzeniu. Wstaje, rozpina płaszcz. Stoi z ręką na klamce, jej noga drży wstrząsana dreszczem, jest gotowa skoczyć.

Zapomniała telefonu. Siada z powrotem, opróżnia torebkę, upuszcza puderniczkę, wyciąga stanik, w który zaplątały się słuchawki. Co za nieostrożność z tym stanikiem, myśli. Nie mogła przecież zapomnieć telefonu. Jeśli go zapomniała, będzie musiała wrócić do domu, znaleźć jakieś usprawiedliwienie, coś wymyślić. Ale nie, jest. Cały czas był w środku, tylko go nie zauważyła. Chowa rzeczy do torebki. Ma wrażenie, że wszyscy na nią patrzą. Że cały wagon kpi sobie z jej paniki, z płonących policzków. Otwiera telefon z klapką i śmieje się, widząc pierwsze imię.

Adam.

Zresztą już przepadło.

Mieć ochotę, znaczy ulec. Tama pękła. Po co się powstrzymywać? Życie nie stanie się od tego piękniejsze. Teraz myśli jak morfinistka, jak hazardzistka. Jest taka zadowolona, że przez kilka dni opierała się pokusie i zapomniała o niebezpieczeństwie. Wstaje, unosi lepką brudną klamkę, drzwi się otwierają.

Stacja Madeleine.

Przedziera się przez tłum, który napiera jak fala, by wejść do wagonu. Adèle szuka wyjścia. Na boulevard des Capucines zaczyna biec. *Spraw, żeby był w domu, spraw, żeby był w domu.* Przed domami handlowymi zastanawia się, czy nie odpuścić. Mogłaby wsiąść tu do metra linii 9, które zawiozłoby ją prosto do biura, zdążyłaby na kolegium redakcyjne. Kręci się wokół wejścia do metra, zapala papierosa. Przyciska torebkę do brzucha. Namierzyła ją grupa Rumunek. Ruszają w jej stronę w chustkach na głowach, z lipną prośbą w dłoni. Adèle przyspiesza kroku. Idzie rue Lafayette jak w transie, myli kierunki, wraca. Rue Bleue. Wstukuje kod i wchodzi do kamienicy, biegnie schodami jak szalona i wali w ciężkie drzwi na drugim piętrze.

– Adèle. – Adam uśmiecha się zaspany. Jest nagi.

– Nic nie mów. – Adèle zdejmuje płaszcz i rzuca się na niego. – Proszę.

– Mogłaś zadzwonić... Nie ma jeszcze ósmej...

Adèle jest już naga. Drapie go w szyję, ciągnie za włosy. On kpi sobie z niej i narasta w nim podniecenie. Popycha ją brutalnie, uderza w twarz. Chwyta go za członek i wsadza go sobie do środka. Oparta o ścianę czuje, jak w nią wchodzi. Lęk ustępuje. Wraca do normalności. Jej dusza nie jest już taka ciężka, a umysł robi się pusty. Łapie mocno pośladki Adama, zmusza jego ciało do energicznych, gwałtownych, coraz szybszych ruchów. Próbuje dokąś dojść, ogarnia ją szaleństwo.

– Mocniej, mocniej – zaczyna krzyczeć.

Zna to ciało i to jej się nie podoba. Wszystko jest zbyt proste, zbyt mechaniczne. Zaskoczenie wywołane jej przyjściem nie wystarczy, by uwznioślić Adama. Ich pieśczoły nie są ani wystarczająco obsceniczne, ani wystarczająco czułe. Kładzie dłonie Adama na swoich piersiach, próbuje zapomnieć, że to on. Zamyka oczy i wyobraża sobie, że ją do tego zmusza.

A jego już tu nie ma. Zaciskają mu się szczęki. Odwraca ją. Jak za każdym razem opiera prawą rękę na głowie Adèle, przyciska ją do ziemi, a lewą chwyta jej biodro. Wchodzi w nią mocniej, rzeźi, szczytuje.

Adam łatwo daje się ponieść.

Adèle ubiera się odwrócona do niego plecami. Wstydzi się, że widzi ją nagą.

– Spóźnię się do pracy. Zadzwonię do ciebie.

– Jak chcesz – odpowiada Adam.

Pali papierosa oparty o drzwi do kuchni. Dotyka ręką prezerwatywy, która zwisa mu z członka. Adèle unika jego wzroku.

- Nie mogę znaleźć szalika. Nie widziałeś go? Taki szary kaszmirowy szalik, bardzo mi na nim zależy.
- Poszukam go. Oddam ci następnym razem.

Adèle udaje wyluzowaną. Ważne, by nie sprawiać wrażenia, że ma poczucie winy. Przechodzi przez open space, jakby wracała po przerwie na papierosa, uśmiecha się do kolegów i siada za biurkiem. Cyril wysuwa głowę ze swojej szklanej klatki. Jego głos zagłuszają rozmowy telefoniczne, stukot klawiatur, drukarki wypluwające artykuły, dyskusje przy ekspresie do kawy. Wrzeszczy:

– Adèle, dochodzi dziesiąta!

– Miałam spotkanie.

– Już w to wierzę! Wisisz mi dwa artykuły i mam gdzieś twoje spotkania. Chcę je dostać za dwie godziny.

– Dostaniesz te swoje teksty. Już prawie skończyłam. Wystarczy, jak ci je dam po obiedzie?

– Mam tego dość, Adèle! Nie będziemy ciągle na ciebie czekać. Musimy, do cholery, zamknąć numer!

Cyril opada na krzesło, machając rękami.

Adèle włącza komputer i chowa twarz w dłoniach. Nie ma żadnego pomysłu na to, co mogłaby napisać. Nie powinna była podejmować się przygotowania artykułu o napięciach społecznych w Tunezji. Zastanawia się, co ją podkusiło na kolegium redakcyjnym, by się zgłosić.

Musiałyby podnieść słuchawkę. Zadzwoić do swoich kontaktów na miejscu. Zadawać pytania, porównywać informacje, wyduszać wiadomości. Musiałyby chcieć, wierzyć w sens dobrze wykonywanej pracy, w rzetelność dziennikarską, o której bez przerwy głądzi im Cyril gotowy zaprzedać duszę diabłu za wysoki nakład. Powinna zjeść lunch w biurze, ze słuchawkami na uszach, z rękami na klawiaturze w okruszynach. Przełknąć kanapkę, czekając, aż nadęta korektorka zadzwoni do niej, żądając, by przed publikacją dała jej tekst do przeczytania.

Adèle nie lubi swojej pracy. Nienawidzi myśli, że trzeba pracować, by zarabiać na życie. Nigdy nie miała innych ambicji poza tą, by ją oglądano. Próbowwała zostać aktorką. Po przyjeździe do Paryża zapisała się na kurs, ale okazała się mierną uczennicą. Nauczyciele mówili, że ma piękne oczy i kryje się w niej jakaś tajemnica. „Ale być aktorką, to umieć się rozluźnić, proszę pani”. Długo czekała w domu, aż spełni się przeznaczenie. Nic nie potoczyło się tak, jak planowała.

Bardzo by jej odpowiadało być żoną bogatego i nieobecnego męża. Ku oburzeniu otaczających ją rozwścieczonych hord kobiet aktywnych zawodowo Adèle chciałaby się przechadzać leniwie po wielkim domu, troszcząc się tylko o to, by być piękną na powrót męża. Byłoby wspaniale, gdyby płacono jej za talent do zabawiania mężczyzn.

Jej mąż dobrze zarabia. Odkąd zaczął pracę w szpitalu Georges-Pompidou

jako gastroenterolog, bez przerwy ma dyżury i zastępstwa. Często wyjeżdżają na urlop, wynajmują duże mieszkanie w „pięknej Osiemnastce”. Adèle to rozpieszczana kobieta, a jej mąż z dumą myśli, że jest bardzo niezależna. Ona uważa, że to jej nie wystarcza. Że jej życie jest małe, beznadziejne, bez żadnego rozmachu. Ich pieniądze śmierdzą pracą, potem i długimi nocami spędzonymi w szpitalu. Mają smak wyrzutów i złego humoru. Nie pozwalają jej ani na próżnowanie, ani na dekadencję.

Adèle trafiła do redakcji po znajomości. Richard przyjaźni się z synem wydawcy i wspomniął mu o niej. Nie przeszkadzało jej to. Tak jest ze wszystkimi. Na początku się starała. Podniecała ją myśl, że spodoba się szefowi, zaskoczy go swoją skutecznością, zaradnością. Okazywała zapał, tupet, załatwiała zgody na wywiady, o których nikt w redakcji nie śmiał marzyć. A potem zdała sobie sprawę, że Cyril to tępy gość, który nigdy nie przeczytał żadnej książki i nie jest w stanie docenić jej talentu. Zaczęła gardzić kolegami, którzy utracone ambicje topili w alkoholu. W końcu znienawidziła swoją pracę, to biuro, ten ekran, całe to idiotyczne popisywanie się. Nie znosi już wydzwaniania po dziesięć razy do ministrów, którzy ją zbywają, by wreszcie rzucić kilka zdań równie pustych jak nuda. Wstyd jej mówić słodkim głosem, by zyskać przychylność jakiejś asystentki prasowej. Zależy jej tylko na wolności, jaką daje zawód dziennikarki. Niewiele zarabia, ale podróżuje. Może zniknąć, wymyślać tajne spotkania, nie musi się usprawiedliwiać.

Adèle do nikogo nie dzwoni. Otwiera pusty dokument, jest gotowa zacząć pisać. Wymyśla wypowiedzi anonimowych źródeł, najlepszych, jakie zna. „Osoba z otoczenia rządu”, „znawca arkanów władzy”. Wynajduje chwytliwy tytuł, wykazuje się dowcipem, by rozbawić czytelnika, który wierzy jeszcze, że znajdzie tu prawdziwe informacje. Czyta kilka artykułów na ten temat, streszcza je, stosuje metodę kopiuj-wklej. Zabiera jej to zaledwie godzinę.

– Masz swój artykuł, Cyril! – krzyczy, wkładając płaszcz. – Idę na obiad, porozmawiamy, jak wrócę.

Ulica jest szara, jakby skostniała z zimna. Przechodnie mają ściągnięte rysy twarzy i zielonkawą cerę. Człowiek chciałby jedynie wrócić do domu i położyć się. Bezdomny spod Monoprix wypił więcej niż zwykle. Śpi wyciągnięty na kratce wylotowej z metra. Ma spuszczone spodnie, widać jego pokryte strupami plecy i pośladki. Adèle i jej koledzy wchodzą do baru, którego podłoga nie grzeszy czystością, i jak za każdym razem Bertrand mówi trochę za głośno:

– Obiecywaliśmy, że więcej tu nie przyjdziemy, właściciel jest działaczem Frontu Narodowego.

Ale chodzą tam mimo wszystko z powodu kominka, umiarkowanych cen i nie najgorszego jedzenia. Adèle podtrzymuje rozmowę, żeby się nie nudzić. Wytrwale coś opowiada, odgrzewa zapomniane plotki, pyta kolegów o plany

święteczne. Podchodzi kelner, by przyjąć zamówienie. Kiedy pyta, czego się napiją, Adèle proponuje wino. Jej koledzy bez przekonania kiwają głowami, robią kokietyjne miny, utrzymują, że ich nie stać i że to nierozsądne.

– Ja stawiam – oznajmia Adèle, która ma debet na koncie i której koledzy nigdy nie postawili nawet kieliszka wina. Ma to gdzieś. Teraz to ona zabawia towarzystwo. To ona robi im przyjemność i wdychając zapach palącego się drewna, po kieliszku Saint-Estèphe ma wrażenie, że ją lubią i są jej wdzięczni.

Gdy wychodzą z restauracji, jest wpół do czwartej. Trochę uśpiło ich wino, zbyt obfite jedzenie i ogień w kominku, którym pachną ich ubrania i włosy. Adèle bierze pod ramię Laurenta, który w biurze siedzi naprzeciw niej. Jest wysoki, chudy i ma koński uśmiech, który zawdzięcza tanim sztucznym zębom.

W open spacie nikt nie pracuje. Dziennikarze drzemią przed ekranami. Rozmawiają w głębi sali w małych grupkach. Bertrand droczy się z młodą stażystką, która nieostroźnie ubrała się jak gwiazdka z lat pięćdziesiątych. Na parapetach chłodzą się butelki szampana. Wszyscy czekają na rozsądną godzinę, by się upić, z dala od rodziny i prawdziwych przyjaciół. W gazecie święteczna lampka wina jest uświęconą tradycją. To chwila planowanej rozpusty, kiedy każdy chce posunąć się jak najdalej, pokazać swoją prawdziwą twarz kolegom, z którymi od następnego dnia będzie utrzymywał wyłącznie zawodowe kontakty.

Nikt w redakcji nie wie, że w ubiegłym roku przyjęcie święteczne dla Adèle osiągnęło szczyty. W ciągu jednej nocy zaspokoili swoją fantazję erotyczną i do końca straciła ambicję zawodową. W sali konferencyjnej redaktorów naczelnych, na długim czarnym drewnianym stole powleczonym laką, uprawiała seks z Cyrilem. Sporo wypili. Spędziła wieczór w jego towarzystwie, śmiejąc się z jego żartów, wykorzystując każdy moment, gdy byli sami, by rzucać mu nieśmiałe powłóczyście spojrzenia. Udawała, że Cyril jednocześnie robi na niej wielkie wrażenie i ogromnie ją pociąga. Opowiedział jej, co o niej myślał, gdy zobaczył ją po raz pierwszy:

- Uważałem, że jesteś taka krucha, taka nieśmiała i dobrze wychowana...
- Chcesz powiedzieć: trochę zahukana?
- Tak, może.

Bardzo szybko przesunęła językiem po wargach, jak mała jaszczurka. Był tym wstrząśnięty. Sala redakcyjna opustoszała i gdy inni zbierali porzucone kubki i pety, oni zniknęli w sali konferencyjnej na piętrze. Rzucili się na siebie. Adèle rozpięła koszulę Cyrilowi, którego uważała za tak przystojnego, gdy był tylko jej szefem, a jako mężczyzna stanowił w pewnym sensie zakazany owoc. Ale teraz, na czarnym błyszczącym stole, okazał się brzuchaty i niezręczny. „Za dużo wypilem”, powiedział, by przeprosić, że słabo mu staje. Oparł się o stół, włożył rękę we włosy Adèle i przyciągnął jej głowę między swoje uda. Z jego penisem w gardle powstrzymała odruch wymiotny i chęć, by go ugryźć.

A przecież go pragnęła. Budziła się każdego ranka, by zrobić się na bóstwo, by wybrać nową sukienkę w nadziei, że Cyril na nią spojrzy i że usłyszy od niego, jeśli będzie miał dobry dzień, jakiś dyskretny komplement. Kończyła przed czasem artykuły, proponowała reportaże z drugiego końca świata, przychodziła do jego gabinetu z rozwiązaniami, nigdy z problemami, a wszystko tylko po to, aby mu się podobać.

Po co teraz pracować, skoro go już zdobyła?

Tego wieczoru Adèle trzyma się z dala od Cyrila. Dobrze wie, że on o tym myśli, ale ich relacje mocno się ochłodziły. Denerwowały ją idiotyczne esemesy, które wysyłał do niej w następnych dniach. Wzruszyła ramionami, gdy nieśmiało zaproponował, żeby któregoś wieczoru poszli na kolację do restauracji. „Po co, mam męża, a ty żonę. Zadalibyśmy sobie jedynie ból, nie uważasz?”

Tego wieczoru Adèle nie zamierza pomylić celu. Żartuje z Bertrandem, który zanudza ją, opisując po raz enty swoją kolekcję mang japońskich. Ma zaczerwienione oczy, chyba wypalił skręta, i jeszcze bardziej suchy i kwaśny oddech niż zwykle. Adèle robi zadowoloną minę. Udaje, że toleruje otyłą archiwistkę, która tego wieczoru pozwala sobie na uśmiech, mimo że zwykle jedynie utyskuje i wzdycha. Adèle się rozgrzewa. Szampan leje się strumieniami za sprawą polityka, którego Cyril opisał w samych superlatywach na pierwszej stronie gazety. Adèle nie może wytrzymać na miejscu. Czuje się piękna i nie znosi myśli, że jej uroda jest niepotrzebna, że jej radość niczemu nie służy.

– Chyba nie wracacie do domu? Chodźmy gdzieś! Proszę... – błaga Laurenta z błyszczącym i tak pełnym entuzjazmu wzrokiem, że okrucieństwem byłoby jej czegokolwiek odmówić.

– Chłopaki, co wy na to? – pyta Laurent trzech dziennikarzy, z którymi rozmawia.

W półmroku przy otwartym oknie, przez które widać różowawe chmury, Adèle patrzy na nagiego mężczyznę. Z twarzą wciśniętą w poduszkę śpi snem człowieka zaspokojonego. Równie dobrze mógłby być martwy jak te owady, które kopulacja zabija.

Adèle wstaje z łóżka, krzyżując dłonie na nagich piersiach. Przykrywa prześcieradłem śpiące ciało, które kuli się, aby się ogrzać. Nie spytała go, ile ma lat. Jego gładka tłusta skóra i służbówka, do której ją zabrał, każą myśleć, że jest młodszy, niż utrzymywał. Ma krótkie nogi i kobiece pośladki.

Świt rzuca zimne światło na bałagan w pokoju. Adèle się ubiera. Nie powinna była za nim pójść. W chwili gdy ją pocałował, przylepiając swoje miękkie wargi do jej ust, zrozumiała, że się pomyliła. Nie będzie umiał jej zaspokoić. Powinna była uciec. Znaleźć jakąś wymówkę, żeby nie iść na górę do tej mansardy. Powiedzieć: „Już wystarczająco dobrze się bawiliśmy, prawda?”. Powinna była opuścić bar bez słowa, oprzeć się rękoma, które ją obejmowały, szklistemu spojrzeniu, ciężkiemu oddechowi.

Zabrakło jej odwagi.

Weszli po schodach, zataczając się. Z każdym stopniem ulatniała się magia, radosne pijaństwo ustępowało miejsca mdłościom. Zaczął ją rozbierać. Czuła, jak ściska jej się serce wobec banalności zamka błyskawicznego, prozy pary skarpetek, niezręcznych gestów młodego pijaka. Chciała powiedzieć: „Przestań, nic nie mów, nie mam już ochoty na nic”. Ale nie mogła się już cofnąć.

Leżąc pod jego nagim torsem, mogła jedynie starać się zrobić to jak najszybciej, symulować, krzyczeć głośnie, żeby osiągnął rozkosz, zamilkł i żeby to się skończyło. Czy w ogóle zauważył, że zamykała oczy? Zamykała je z wściekłością, jakby jego widok napawał ją niesmakiem, jakby myślała już o następnych mężczyznach, prawdziwych, dobrych, tych skądinąd, którzy wreszcie zdobędą jej ciało.

Delikatnie zamyka drzwi mieszkania. Na podwórzu kamienicy zapala papierosa. Jeszcze trzy sztuchy i zadzwoni do męża.

– Nie obudziłam cię?

Mówi, że spała u Lauren, przyjaciółki, która mieszka tuż obok redakcji. Pyta o syna.

– Tak, impreza się udała – kończy.

Stojąc przed zniszczonym lustrem w holu kamienicy, wygładza rysy twarzy i patrzy, jak kłamię.

Słyszy swoje kroki na ulicy. Wydaje okrzyk, gdy jakiś mężczyzna popycha ją, biegnąc, by złapać autobus, który właśnie ma zahamować. Wraca pieszo, by zyskać na czasie, by mieć pewność, że schroni się w pustym mieszkaniu, gdzie nikt nie będzie jej zadawał pytań. Słucha muzyki i wtapia się w lodowaty Paryż.

Richard posprzątał po śniadaniu. Brudne filiżanki leżą w zlewie, kromka chleba przylepiła się do talerza. Adèle siada na skórzanej kanapie. Nie zdejmuje płaszcza, przyciska torebkę do brzucha. Nie rusza się. Dzień zaczyna się, dopiero gdy weźmie prysznic. Gdy wypierze bluzkę przesiąkniętą zapachem zimnego tytoniu. Gdy pod makijażem ukryje wory pod oczami. Na razie pławi się w brudzie zawieszona między dwoma światami, pani czasu teraźniejszego. Niebezpieczeństwo minęło. Nie ma się już czego bać.

Adèle zjawia się w redakcji ze ściągniętymi rysami i suchością w ustach. Od wczoraj nic nie jadła. Musi coś przegryźć, by zabić smutek i mdłości. Kupiła suchą zimną bułeczkę czekoladową w najgorszej piekarni w dzielnicy. Gryzie kęs, ale z trudem go przęłyka. Chciałaby zwinąć się w kłębek w toalecie i zasnąć. Chce jej się spać i jest jej wstyd.

– I jak tam, Adèle? Nie jesteś za bardzo zmęczona? – Bertrand pochyla się nad jej biurkiem i rzuca jej porozumiewawcze spojrzenie, na które Adèle nie reaguje. Wyrzuca bułeczkę do kosza. Chce jej się pić. – Byłaś wczoraj we wspaniałej formie. Nie boli cię za bardzo głowa?

– Nie, da się wytrzymać. Muszę się tylko napić kawy.

– Gdy masz trochę w czubie, jesteś nie do poznania. Jak się na ciebie patrzy, człowiek myśli: urażona księżniczka z uporządkowanym życiem. A tak naprawdę to lubisz poimprezować.

– Przestań.

– Mieliśmy z ciebie niezły ubaw. I jak świetnie tańczysz!

– Wystarczy, Bertrand, muszę się zabrać do roboty.

– Ja też, mam masę rzeczy do zrobienia. Prawie nie spałem. Jestem wykończony.

– W takim razie powodzenia.

– Nie widziałem, jak wczoraj wychodziłaś. Odprowadziłaś tego młodego do domu? Zapamiętałaś przynajmniej, jak ma na imię, czy to było tylko ot tak?

– A ty zapamiętujesz imiona dziwek, które przelatujesz w swoim pokoju, jak wyjeżdżasz służbowo do Kinszasy?

– Och, daj spokój! Tylko żartowałem. Twój mąż nic nie mówi, gdy wracasz kompletnie pijana o czwartej nad ranem? Nie pyta cię o nic? Moja żona by zrobiła...

– Zamknij się – przerywa mu Adèle. Z trudem oddycha, ma purpurowe policzki, przysuwa twarz do twarzy Bertranda. – Nigdy więcej nie wspominaj o moim mężu, słyszysz?

Bertrand cofa się, podnosząc dłonie do góry.

Adèle żałuje, że była nieostrożna. Nie powinna była tańczyć, pozwalać im na poufałość. Nie powinna była siadać Laurentowi na kolanach i opowiadać drżącym głosem, w kompletnym upojeniu, mętnej historii z dzieciństwa. Widzieli, jak podrywa młodego chłopca za barem. Widzieli i nie osądzają jej. To znacznie gorzej. Teraz pomyślała, że nawiązali z nią nic porozumienia, że mogą sobie pozwolić na zażyłość. Będą chcieli się z nią z tego śmiać. Mężczyźni uznają, że jest kokietką, osobą próżną, łatwą. Kobiety będą uważać, że poluje na facetów, najbardziej pobłażliwe powiedzą, że jest słaba. Wszyscy będą się mylili.

Richard zaproponował, by w sobotę pojechali nad morze. „Wyjedziemy wcześniej, Lucien będzie mógł spać w samochodzie”. Adèle budzi się o świcie, żeby nie sprzeciwić się mężowi, który chce uniknąć korków. Pakuje torby, ubiera syna. Dzień jest zimny, ale pełen światła, dzień, który budzi umysł, nie pozwala na otępienie. Adèle jest w radosnym nastroju. Rozweselona zimowym słońcem podtrzymuje nawet rozmowę w samochodzie.

Przyjeżdżają na miejsce w porze obiadowej. Paryżanie okupują ogrzewane ogródki, ale Richard był na tyle przezorny, że zarezerwował stolik. Doktor Robinson nigdy nie zdaje się na przypadek. Nie musi czytać karty, wie, na co ma ochotę. Zamawia białe wino, ostrygi, trąbiki. I trzy smażone sole.

– Powinniśmy tak robić co tydzień! Świeże powietrze dla Luciena, kolacja zakochanych dla nas dwojga, żyć, nie umierać, prawda? Tego mi było trzeba. Po ostatnim tygodniu w szpitalu... Nie mówiłem ci, ale Jean-Pierre, ordynator oddziału, spytał, czy nie chciałbym wygłosić prezentacji o przypadku Meuniera. Oczywiście zgodziłem się. Był mi to winien. Zresztą niedługo szpital będę miał już za sobą. Mam wrażenie, że w ogóle nie widuję ciebie i małego. Znowu kontaktowali się ze mną w sprawie kliniki w Lisieux, czekają, aż dam im zielone światło. Umówiłem się w sprawie domu w Vimoutiers. Oglądniemy go, gdy pojedziemy na ferie do moich rodziców. Mama była go obejrzeć, mówi, że jest idealny.

Adèle za dużo wypila. Powieki jej ciążą. Uśmiecha się do Richarda. Przygryza policzki, żeby mu nie przerwać i nie zmienić tematu rozmowy. Lucien się wierci, zaczyna się nudzić. Kołysze się na krześle, łapie nóż, który Richard wyjmuje mu z rąk, a potem chłopiec rzuca przez stół solniczkę, którą wcześniej odkręcił.

– Lucien, przestań! – rozkazuje Adèle.

Dziecko zanurza rękę w talerzu i miażdży w palcach marchewkę. Śmieje się. Adèle wyciera synowi rękę.

– Poprosimy o rachunek? Widzisz, że on już ma dość.

Richard dolewa sobie wina.

– Nie powiedziałaś mi, co myślisz o domu. Nie przeżyję kolejnego roku w szpitalu. Paryż to nie dla mnie. Ty zresztą też mówisz, że śmiertelnie się nudzisz w redakcji.

Adèle nie spuszcza wzroku z Luciena, który bierze do ust wodę z miętą i wypluwa ją na stół.

– Richard, powiedz mu coś! – wrzeszczy Adèle.

– Co ci się dzieje? Oszalałaś? Wszyscy na nas patrzą – odpowiada Richard, który spogląda na nią ze zdziwieniem.

– Przepraszam. Jestem zmęczona.

– Nie jesteś w stanie po prostu cieszyć się chwilą? Wszystko psujesz.
– Przepraszam – powtarza Adèle, która zaczyna czyścić papierowy obrus.
– Mały się nudzi. Musi się wybiegać i tyle. Przydałby mu się braciszek albo siostrzyczka i duży ogród, w którym mógłby się bawić. – Richard uśmiecha się do niej pojednawczo. – Co myślisz o tym ogłoszeniu? Podobał ci się ten dom, prawda? Pomyślałem o tobie, jak tylko go zobaczyłem. Chcę, żebyśmy żyli inaczej. Chcę, do cholery, żebyśmy w ogóle mieli jakieś życie, rozumiesz?

Richard sadza sobie syna na kolanach i głaszcze go po głowie. Lucien jest podobny do ojca. Takie same cienkie blond włosy, takie same łódeczkowate usta. Często się razem śmieją. Richard szaleje za synem. Nieraz Adèle się zastanawia, czy naprawdę jest im potrzebna. Czy nie mogliby być szczęśliwi, żyjąc we dwóch.

Patrzy na nich i uświadamia sobie, że od tej pory jej życie będzie zawsze takie samo. Będzie się zajmowała dziećmi, troszczyła o to, co jedzą. Będzie jeździła na wakacje w miejsca, które im będą się podobały, będzie szukała dla nich rozrywek we wszystkie weekendy. Jak klasa średnia na całym świecie będzie ich zawoziła na lekcje gitary, zabierała na przedstawienia, odstawiała do szkoły, będzie szukała wszystkiego, co może ich „pociągnąć w górę”. Adèle ma nadzieję, że jej dzieci nie będą do niej podobne.

Jadą do hotelu i rozlokowują się w wąskim pokoju przypominającym kajutę statku. Adèle nie podoba się to miejsce. Ma wrażenie, że ściany się ruszają, przybliżają do siebie, jakby powoli miały ją zmiażdżyć, gdy będzie spała. Ale jest śpiąca. Zamyka okiennice i odgradza się od pięknego dnia, z którego trzeba korzystać, kładzie Luciena w łóżeczku na poobiednią drzemkę i sama idzie w jego ślady. Ledwie zamknęła oczy, słyszy, że syn ją woła. Nie rusza się. Ma więcej cierpliwości od niego, w końcu się zmęczy. Mały wali w drzwi, Adèle domyśla się, że wszedł do łazienki. Odkręca kran.

– Zabierz go na dwór, niech się pobawi. Biedny mały, przyjechaliśmy tylko na dzień. Ja jestem po dwóch dniach dyżuru.

Adèle wstaje, ubiera Luciena i idzie z nim na mały plac zabaw przy plaży. Chłopiec wchodzi na kolorowe konstrukcje i schodzi z nich. Niestrudzenie zjeżdża na zjeżdżalni. Adèle boi się, że spadnie z wysokiej platformy, na której popychają się dzieci, i okrąży ją, by móc go złapać.

– Wracamy, Lucien?

– Nie, mam, jeszcze nie – protestuje stanowczo syn.

Placyk jest maleńki. Lucien wyrywa samochód chłopczykowi, który wybucha płaczem.

– Oddaj mu zabawkę. No już, chodź, wracamy do tatusia do hotelu – błaga, ciągnąc go za ramię.

– Nie! – wrzeszczy syn, rzuca się na huśtawkę i o mało nie łamie sobie szczęki.

Adèle siada na ławce, potem wstaje.

– A może pójdziemy na plażę? – proponuje. Na piasku Lucien nie robi sobie nic złego.

Adèle siada na lodowatej plaży. Sadza sobie Luciena między kolanami i zaczyna kopać dziurę.

– Będziemy kopali tak głęboko, aż znajdziemy wodę, zobaczysz.

– Chcę wodę – krzyczy z entuzjazmem Lucien, lecz po kilku minutach wrywa się jej i zaczyna biec w stronę dużych kałuż, które pozostawił po sobie odpływ. Wywraca się na piasek, wstaje i wskakuje do błota.

– Lucien, wracaj! – wrzeszczy przenikliwym głosem Adèle.

Dziecko odwraca się i patrzy na nią, śmiejąc się. Siada w kałuży, zanurza ręce w wodzie. Adèle nie wstaje. Jest wściekła. Będzie przemoczony, a jest połowa grudnia. Przeziębci się i będzie musiała się nim jeszcze bardziej zajmować. Ma mu za złe, że jest taki głupi, taki bezmyślny, taki egoistyczny. Zamierza wstać i zabrać go siłą do hotelu, a tam poprosić Richarda, by zrobił mu gorącą kąpiel. Nie rusza się jednak. Nie chce go nieść, bo zrobił się taki ciężki, a w dodatku boleśnie kopie ją umiejętnymi nogami, gdy się wrywa.

– Lucien, wracaj natychmiast! – wrzeszczy na oczach zdumionej staruszki.

Jakaś rozczochrana blondynka, ubrana w szorty mimo zimowej pory, bierze Luciena za rękę i przyprowadza do matki. Spod podwiniętych dżinsów wystają mu tłuściutkie kolana, uśmiecha się i jest speszony. Adèle dalej siedzi, gdy kobieta mówi do niej z mocnym angielskim akcentem:

– Myślę, że mały ma ochotę się wykąpać.

– Dziękuję – odpowiada upokorzona i zdenerwowana Adèle.

Chciałaby wyciągnąć się na piasku, przykryć płaszczem twarz i się poddać. Nie ma nawet siły, by dać reprimendę dziecku, które trzęsąc się z zimna, patrzy na nią z uśmiechem.

Lucien to ciężar, ograniczenie, z którym nie może się pogodzić. Adèle nie potrafi ustalić, gdzie ukrywa się jej miłość do syna pośród mieszanych uczuć: panicznego lęku przed oddaniem go pod cudzą opiekę, irytacji, gdy go ubiera, zmęczenia, kiedy musi pchać pod górę oporny wózek. Czuje miłość, nie ma co do tego wątpliwości. Chropowatą miłość, która pada ofiarą codzienności. Miłość, która nie ma dla siebie czasu.

Adèle zaszła w ciążę z tego samego powodu, z którego wyszła za męża. By należeć do świata i bronić się przed wszelką odmiennością od innych. Stając się żoną i matką, otoczyła się nimbem osoby godnej szacunku, którego nikt nie może jej pozbawić. Zbudowała sobie schronienie na pełne lęku wieczory i wygodne zaplecze na dni rozpusty.

Podobało jej się być kobietą w ciąży.

Poza bezsennością i ciężkością nóg, lekkim bólem pleców i krwawieniem dziąseł ciąża przebiegała doskonale. Adèle przestała palić, nie piła więcej jak jeden kieliszek wina w miesiącu i to zdrowe życie dawało jej satysfakcję. Po raz pierwszy miała wrażenie, że jest szczęśliwa. Jej wystający brzuch rysował pełną wdzięku krzywiznę. Miała nieskazitelną cerę i nawet zapuściła włosy, które zaczesywała na bok.

Była w trzydziestym siódmym tygodniu ciąży i było jej już bardzo niewygodnie, gdy leżała. Tej nocy powiedziała Richardowi, by szedł bez niej. „Nie piję, jest gorąco. Naprawdę nie wiem, co bym robiła na tej imprezie. Baw się dobrze i nie martw się o mnie”.

Położyła się. Zostawiła otwarte okiennice i widziała tłum idący ulicami. W końcu wstała zmęczona próbami zaśnięcia. W łazience spryskała sobie twarz lodowatą wodą i długo oglądała się w lustrze. Patrzyła na swój brzuch, a potem na twarz. „Czy kiedyś jeszcze będę taka jak wcześniej?” Miała dojmujące uczucie, że przeżywa metamorfozę. Nie wiedziała, czy ją to cieszy czy wywołuje nostalgię. Ale wiedziała, że coś w niej umiera.

Myślała, że dziecko ją uzdrowi. Wmówiła sobie, że macierzyństwo jest jedynym lekarstwem na jej chandrę, jedynym rozwiązaniem pozwalającym zatrzymać tę ucieczkę do przodu. Rzuciła się w nie jak pacjent, który zgadza się podjąć konieczne leczenie. Zaszła w ciążę, a raczej zrobiono jej to dziecko, ona zaś nie stawiała oporu, żywiąc szaloną nadzieję, że wyjdzie jej to na dobre.

Nie musiała robić testu ciążowego. Od razu wiedziała, ale nic nikomu nie powiedziała. Zazdrośnie strzegła swojego sekretu. Jej brzuch rósł, a ona dalej słabo zaprzeczała, że zbliżają się narodziny dziecka. Obawiała się, że otoczenie zepsuje wszystko banalnymi reakcjami, wulgarnością gestów, rękami wyciągniętymi w stronę jej brzucha, by zważyć jego krągłość. Czuła się samotna, zwłaszcza w towarzystwie mężczyzn, lecz ta samotność jej nie ciążyła.

Lucien przyszedł na świat. Szybko zaczęła z powrotem palić. Niemal natychmiast zaczęła pić. Dziecko zakłócało jej lenistwo i po raz pierwszy w życiu była zmuszona zająć się kimś innym niż sobą. Kochała to dziecko. Darzyła noworodka intensywną, a mimo to niewystarczającą miłością fizyczną. W domu dni zdawały się nie mieć końca. Nieraz pozwalała synowi płakać w pokoju, a sama przykrywała sobie głowę poduszką, szukając snu. Łkała na widok wysokiego krzeselka poplamionego jedzeniem, widząc przed sobą smutne dziecko, które nie chce jeść.

Lubi przytulać go mocno, gdy jest nagi, zanim wsadzi go do wanny. Uwielbia kołysać go i patrzeć, jak zasypia upojony jej czułością. Odkąd przeniósł się z łóżeczka z balaskami do dzieciennego łóżka, zaczęła z nim spać. Wychodzi bezszelestnie z sypialni małżeńskiej i wślizguje się do łóżka syna, który wita ją, coś mrużąc. Adèle wtula nos w jego włosy, w szyję, w jego dłoń i wdycha zjełczały zapach. Tak bardzo by chciała, żeby to jej wystarczało.

Ciąża ją zniszczyła. Ma wrażenie, że po niej zbrzydła, oklapła, zestarzała się. Obcięła włosy na krótko i wydaje jej się, że ma teraz twarz pooraną zmarszczkami. W wieku trzydziestu pięciu lat nie przestała jednak być piękną kobietą. Wiek uczynił ją nawet silniejszą, bardziej intrygującą, godną uwagi. Rysy jej się wyostrzyły, ale wodnisty wzrok zyskał nową siłę. Jest mniej histeryczna, mniej podekscytowana. Lata palenia złagodziły jej piskliwy głos, z którego śmiał się ojciec. Jej bladość zyskała na intensywności i można by niemal narysować, jak przez kalkę, krzywizny żył na policzkach.

Wychodzą z pokoju. Richard ciągnie Adèle za ramię. Na kilka minut zastygają pod drzwiami i słuchają wrzasków Luciena, który błaga ich, by wrócili. Z ciężkim sercem idą do restauracji, gdzie Richard zarezerwował stół. Adèle chciała się zrobić na bóstwo, ale potem zrezygnowała. Zmarzła, wracając z plaży. Nie miała siły zdjąć ubrania, włożyć sukienki i butów na obcasach, które tu przywiozła. W końcu są tylko we dwojkę.

Na ulicy idą obok siebie szybkim krokiem. Nie dotykają się. Rzadko się całują. Ich ciała nie mają sobie nic do powiedzenia. Nigdy nie odczuwali do siebie nawzajem pociągu ani nawet czułości i w pewien sposób brak tego cielesnego porozumienia ich uspokaja. Jakby to dowodziło, że ich związek jest ponad wymogami ciała. Jakby odbyli już żałobę po czymś, czego inne pary pozbywać się będą wbrew sobie, w krzyku i łzach.

Adèle nie pamięta, kiedy ostatnio kochała się z mężem. Z pewnością w lecie. W któreś popołudnie. Przyzwyczaili się do tych przerw, do kolejnych nocy, gdy życzą sobie miłych snów i odwracają się do siebie plecami. Ale w końcu zawsze odczuwają skrępowanie, atmosfera zaczyna się robić kwaśna. Adèle czuje wówczas dziwną potrzebę przerwania tego cyklu, połączenia się z nim, żeby móc znowu obywać się bez niego. Myśli o tym całym dniami jak o poświęceniu, na które musi się zdobyć.

Tego wieczoru spełnione są wszystkie warunki. Richard patrzy ciężkim wzrokiem, z odrobiną wstydu. Jego gesty są niezdarne. Powiedział Adèle, że pięknie wygląda. Ona proponuje, by zamówili butelkę dobrego wina.

Już przy przystawce Richard wraca do przerwanej w południe rozmowy. Między dwoma kęsami przypomina Adèle obietnice, które złożyli sobie przed dziewięcioma laty, gdy brali ślub. Będą korzystać z Paryża tak długo, jak długo pozwoli im na to młodość i środki finansowe, a potem, gdy na świat przyjdą dzieci, wyjadą na prowincję. Kiedy urodził się Lucien, Richard zgodził się odroczyć przeprowadzkę. Powiedziała: „Za dwa lata”. Dwa lata już dawno minęły i tym razem on nie ustąpi. Czyż nie powtarzała dziesiątki razy, że chce opuścić redakcję, robić coś innego, może pisać, zająć się rodziną? Czyż nie zgadzają się, że są zmęczeni metrem, korkami, drożyzną, wyścigiem z czasem? Widząc obojętność Adèle, która milczy i ledwie coś dzióbnie, Richard nie słabnie. Kładzie ostatnią kartę:

– Chciałbym mieć drugie dziecko. Wspaniale by było, gdyby to była dziewczynka.

Adèle, której alkohol odebrał apetyt, robi się teraz niedobrze. Ma wrażenie, że spuchł jej brzuch, że zaraz pęknie. Gdyby tylko mogła się położyć w kompletnym bezruchu i pogrążyć we śnie. Tylko to przyniosłoby jej ulgę.

– Możesz skończyć moją porcję, jeśli chcesz. Nie jestem w stanie zjeść już

ani kęsa.

Popycha swój talerz w stronę Richarda.

On zamawia kawę.

– Nic nie chcesz, jesteś pewna?

Richard zgadza się wypić lampkę armaniaku, którą częstuje ich właściciel, i dalej mówi o dzieciach. Adèle jest wściekła. Wieczór zdaje się ciągnąć bez końca. Gdyby tylko zmienił temat.

W drodze do hotelu Richard jest trochę pijany. Rozśmiesza Adèle, nagle ruszając biegiem po ulicy. Wchodzą do pokoju na paluszkach. Richard płaci baby-sitterce. Adèle siada na łóżku i wolno zdejmuje buty.

Nie odważy się.

A jednak tak.

Jego gesty nie mylą. Zawsze są takie same.

Zbliża się do niej od tyłu.

Pocałunek w szyję.

Ręka na biodrze.

A potem ten pomruk, jęk, któremu towarzyszy błagalny uśmiech.

Adèle odwraca się, otwiera usta, w które zagłębia się język jej męża.

Żadnych wstępów.

Skończmy z tym, myśli, rozbierając się samotnie po swojej stronie łóżka.

Koniec przerwy. Przywierają do siebie. Nie wolno przestać się całować, trzeba zachowywać się tak, jakby to było naprawdę. Położyć rękę na jego talii, na jego członku. Wchodzi w nią. Adèle zamyka oczy.

Nie wie, co sprawia Richardowi przyjemność. Co lubi. Nigdy nie wiedziała. Ich zbliżenia pozbawione są wszelkiej subtelności. Z upływem lat nie zaczęli się lepiej rozumieć, mniej się wstydzili. Ruchy są precyzyjne, mechaniczne. Prosto do celu. Adèle nie ma odwagi zwolnić tempa. Nie ma odwagi go o to poprosić. Jakby się bała, że frustracja będzie tak wielka, że ją udusi.

Adèle nie wydaje żadnych dźwięków. Za żadne skarby nie chciałyby, aby Lucien się obudził i zastał ich w tej groteskowej sytuacji. Przykleja usta do ucha Richarda, trochę jęczy, żeby mieć czyste sumienie.

I już jest po wszystkim.

Richard natychmiast się ubiera. Od razu wraca do rzeczywistości. Włącza telewizor.

Nigdy nie sprawia wrażenia, by się przejmował, w jakiej samotności zostawia żonę. Nie czuła nic, zupełnie nic. Słyszała tylko odgłosy pijawki, lepjących się do siebie torsów, łączących się narządów.

A potem zapada cisza.

Przyjaciółki Adèle są piękne. Rozsądek nakazał jej nie otaczać się dziewczynami brzydszymi od siebie. Nie chce się martwić, że przyciąga uwagę. Poznała Lauren w czasie podróży służbowej do Afryki. Adèle niedawno rozpoczęła pracę w gazecie i po raz pierwszy towarzyszyła ministrowi w oficjalnej podróży. Była zdenerwowana. Na płycie lotniska Villacoublay, gdzie czekał na nich francuski samolot rządowy, od razu zwróciła uwagę na Lauren, metr osiemdziesiąt wzrostu, na jej białe puszyste włosy i twarz egipskiego kota. Lauren była już zaprawioną w bojach fotoreporterką, specjalistką od Afryki, przemierzyła wszystkie miasta kontynentu i mieszkała sama w kawalerce w Paryżu.

W samolocie było ich siedmioro. Minister, facet bez wielkiej władzy, ale częste zmiany poglądów, skandale korupcyjne i łózkowe wystarczyły, by uczynić go ważną postacią. Roześmiany doradca, z pewnością alkoholik, zawsze gotowy opowiedzieć pieprzną anegdotę. Dyskretny ochroniarz, zbyt jasnowłosa i gadatliwa rzeczniczka prasowa. Chudy brzydki dziennikarz, nałogowy palacz, rzetelny w pracy, zdobył kilka nagród w dzienniku, w którym był zatrudniony i w którym regularnie publikował na pierwszej stronie.

Pierwszego wieczoru w Bamako przespała się z ochroniarzem, który pijany i podniecony pożądaniem zaczął tańczyć z nagim torsem w dyskotece hotelowej, z berettą zatknietą za pasek spodni. Drugiego wieczoru, w Dakarze, w toalecie zrobiła laskę radcy ambasadora Francji, wymykając się ze śmiertelnie nudnego koktajlu, na którym francuscy ekspaci w cielęcym zachwycie ocierali się o ministra, zażerając się ptifurkami.

Trzeciego wieczoru na tarasie hotelowym nad brzegiem morza w Praia zamówiła kajpirinię i zaczęła żartować z ministrem. Właśnie miała zaproponować nocną kąpiel, gdy usiadła koło niej Lauren.

– Jutro, jeśli będziesz chciała, pójdziemy zrobić piękne zdjęcia. Może ci to pomóc przy pisaniu artykułu. Zaczęłaś już pisać? Zdecydowałaś, jaką optykę przyjmiesz?

Gdy Lauren zaproponowała, by poszła z nią do pokoju, to pokaże jej kilka zdjęć, Adèle sądziła, że to się skończy w łóżku. Pomyślała sobie, że nie będzie udawać faceta, nie będzie jej lizać, ale pozwoli jej na wszystko.

Piersi. Adèle mogłaby dotykać jej piersi, wyglądały na delikatne i przyjemne w dotyku, i takie miękkie. Bez skrupułów by ich skosztowała. Lauren jednak się nie rozebrała. Nie pokazała jej też zdjęć. Wyciągnęła się na łóżku i zaczęła mówić. Adèle położyła się koło niej i Lauren zaczęła głaskać ją po włosach. Z głową na ramieniu tej, która miała zostać jej przyjaciółką, Adèle poczuła się wykończona, kompletnie pusta w środku. Zanim zasnęła, domyśliła się, że Lauren właśnie uchroniła ją przed wielkim nieszczęściem, i była jej z tego powodu nieskończenie wdzięczna.

Tego wieczoru Adèle czeka przed galerią przy boulevard Beaumarchais, w której wystawiane są zdjęcia jej przyjaciółki. Uprzedziła Lauren: „Nie wejdę do środka, póki się nie zjawisz”.

Zmusiła się, by tu przyjść. Wolałaby zostać w domu, ale wie, że Lauren ma do niej pretensje. Nie widziały się od tygodni. Adèle w ostatniej chwili odwoływała kolacje, wynajdywała preteksty, żeby nie pójść na drinka. Czuje się tym bardziej winna, że wiele razy prosiła przyjaciółkę, aby ją kryła. Wysyłała jej wiadomości w środku nocy, ostrzegając: „Jeśli zadzwoni do ciebie Richard, nie odbieraj. Myśli, że jestem z tobą”. Lauren nigdy jej nie odpowiedziała, lecz Adèle wie, że ta rola zaczęła ją w końcu irytować.

Prawda jest taka, że Adèle jej unika. Gdy widziały się ostatnim razem na urodzinach Lauren, postanowiła dobrze się zachowywać, być doskonałą i szlachetną przyjaciółką. Pomogła jej przygotować imprezę. Zajęła się muzyką i kupiła nawet kilka butelek tego szampana, za którym Lauren przepada. Richard wyszedł o północy, przeprasząc: „Ktoś musi się poświęcić, żeby zwolnić baby-sitterkę”.

Adèle się nudziła. Krążyła między pokojami, zostawiając ludzi w połowie zdania, nie była w stanie na niczym się skupić. Zaczęła żartować z facetem w eleganckim garniturze i z błyskiem w oku poprosiła go, by nalał jej kieliszek wina. Zawahał się. Nerwowo rozglądał się dookoła. Zrozumiała jego zakłopotanie, dopiero gdy pojawiła się jego żona, wściekła i wulgarna. Zaatakowała Adèle: „Gorzej ci? Daj sobie na wstrzymanie, co? On jest żonaty”. Adèle wybuchnęła kpiącym śmiechem i odpowiedziała: „Ależ ja też jestem zamężna. Nie ma pani żadnych powodów do niepokoju”. Odeszła roztrzęsiona, zmroziło ją to. Próbowała pokryć uśmiechem zmieszanie, w jakie wprawiła ją ta szorstka kobieta.

Schroniła się na balkonie, gdzie Matthieu palił papierosa. Matthieu, wielka miłość Lauren, jej kochanek, który zwodzi ją od dziesięciu lat, a ona nadal myśli, że w końcu się z nią ożeni i będzie z nim miała dzieci. Adèle opowiedziała mu o incydencie z zazdrosną żoną, a on oświadczył, że rozumie, dlaczego niektórzy jej nie ufają. Nie spuszczali już z siebie wzroku. O drugiej w nocy pomógł jej włożyć płaszcz. zaproponował, że ją odwiezie, a Lauren stwierdziła z lekkim rozczerwaniem: „No tak, jesteście sąsiadami”.

Po kilku metrach Matthieu zatrzymał samochód na ulicy dochodzącej do boulevard Montparnasse i rozebrał ją. „Zawsze miałem na to ochotę”. Chwył biodra Adèle i pocałował ją w wargi sromowe.

Następnego dnia zadzwoniła do niej Lauren. Spytała, czy Matthieu mówił o niej, czy powiedział, dlaczego nie chciał zostać na noc. Adèle odparła: „Mówił wyłącznie o tobie. Wiesz, że ma obsesję na twoim punkcie”.

Potok puchówek wylewa się ze stacji metra Saint-Sébastien-Froissart. Szare czapki, spuszczone głowy, pakunki, które kołyszą się w rękach kobiet w wieku

babć. Wiszące na drzewach skromnych rozmiarów bańki w oszczędnej kolorystyce wyglądają, jakby umierały z zimna. Lauren macha do niej. Ma na sobie długi biały kaszmirowy płaszcz, miękki i ciepły.

– Chodź, chcę cię przedstawić różnym ludziom – mówi, ciągnąc Adèle za rękę.

Galeria składa się z dwóch sąsiadujących salek, między którymi naprędce rozstawiono na stole plastikowe kubki oraz papierowe talerze z chipsami i orzeszkami ziemnymi. Tematem wystawy jest Afryka. Adèle poświęca niewiele uwagi zdjęciom zatłoczonych pociągów, pokrytych kurzem miast, roześmianych dzieci i pełnych godności starców. Podobają się jej fotografie Lauren zrobione w laskach Abidżanu i Libreville. Widać na nich obejmujące się złane potem pary, upojone tańcem i piwem bananowym. Mężczyźni w koszulkach z krótkimi rękawami, w kolorze khaki lub jasnożółtym, trzymają za rękę dziewczyny o bujnych kształtach, z długimi włosami splecionymi w warkocze.

Lauren jest zajęta. Adèle wypija dwa kieliszki szampana. Jest niespokojna. Ma wrażenie, że wszyscy widzą, iż przyszła sama. Wyjmuje z kieszeni komórkę, udaje, że wysyła esemesa. Gdy Lauren ją woła, kręci głową i wskazuje papierosa, którego trzyma w dłoniach w rękawiczkach. Nie ma ochoty odpowiadać ludziom, którzy będą pytali, czym się zajmuje. Nudzi ją sama myśl o artystach bez grosza, o dziennikarzach przebranych za ubogich, o blogerach, którzy mają zdanie na każdy temat. Prowadzenie rozmowy wydaje się jej czymś nie do zniesienia. Woli po prostu być tu, muskać noc, gubić się w banałach. Wrócić do domu.

Na zewnątrz lodowaty wilgotny wiatr parzy jej twarz. Może dlatego palą papierosy na chodniku tylko we dwójkę. Palacz jest niski, ale ma uspokajające ramiona. Jego szare wąskie oczy zatrzymują się na Adèle. A ona wpatruje się w niego z pewnością siebie, nie spuszczać wzroku. Adèle dopija szampana, który wysusza jej język. Piją i rozmawiają. Banały, porozumiewawcze uśmiechy, czytelne aluzje. Najpiękniejsza z rozmów. On prawi jej komplementy, a ona śmieje się cicho. Pyta ją, jak się nazywa, a ona odmawia odpowiedzi i ten miłosny wybieg, słodki i banalny, przywraca jej chęć życia.

Wszystko, co mówią, służy tylko jednemu: znaleźć się tutaj. Tu, w tej wąskiej uliczce, gdzie Adèle jest przyklejona do zielonego pojemnika na śmieci. Podarła sobie rajstopy. Wydaje ciche jęki, odrzuca głowę do tyłu. On wkłada w nią palce, kładzie kciuk na łechtaczce. Ona zamyka oczy, by nie napotkać wzroku przechodniów. Chwyta delikatną miękką pięść mężczyzny i zagłębia ją w sobie. On też zaczyna jęczeć, poddając się niespodziewanej żądzy nieznanym kobiecie w grudniowy czwartkowy wieczór. Podniecony, chce więcej. Gryzie ją w szyję, przyciąga do siebie, kładzie rękę na pasku spodni i zaczyna rozpinać rozporek. Jest rozczochrany, oczy mu się rozszerzyły, ma teraz wygłodniały wzrok, jak ludzie na zdjęciach w galerii.

Ona cofa się, wygładza spódnicę. Poprawia włosy i wraca do rzeczywistości. On mówi, że mieszka naprawdę blisko, „niedaleko rue de Rivoli”. Ona nie może. „Już było dobrze”.

Adèle wraca do galerii. Boi się, że Lauren już poszła, że będzie musiała wracać sama. Zauważa biały płaszcz.

– Ach, tu jesteś.

– Lauren, odprowadź mnie do domu. Wiesz, że się boję. Ty chodzisz sama po nocy. Niczego się nie boisz.

– No już, chodź. Daj mi swojego papierosa.

Idą przyklejone do siebie przez boulevard Beaumarchais.

– Dlaczego z nim nie poszłaś? – pyta Lauren.

– Muszę wracać do domu. Richard na mnie czeka. Powiedziałam mu, że szybko wrócę. Nie, nie chcę tędy iść – mówi nagle, gdy dochodzą do place de la République. – W krzakach są szczury. Wielkie szczury wielkości małych pieszków, zapewniam cię.

Idą w górę Wielkich Bulwarów. Noc robi się jeszcze ciemniejsza i Adèle traci pewność siebie. Alkohol wywołuje u niej paranoję. Wszyscy mężczyźni na nią patrzą. Przed kebabem trzech facetów rzuca do nich: „Cześć, dziewczyny!”, Adèle się wzdryga. Z dyskotek i z irlandzkiego pubu wychodzą zataczające się, skore do żartów i trochę agresywne grupy. Adèle się boi. Chciałaby być w łóżku z Richardem. Za zamkniętymi drzwiami i oknami. On by na to nie pozwolił. Nie dałby nikomu zrobić jej krzywdy, potrafiłby ją obronić. Przyspiesza kroku, ciągnie Lauren za ramię. Chce jak najszybciej znaleźć się w domu, u boku Richarda, czuć na sobie jego spokojny wzrok. Jutro zrobi kolację. Posprząta dom, kupi kwiaty. Będzie z nim piła wino, opowie, jak jej minął dzień. Zrobi plany na weekend. Będzie pojednawcza, łagodna, usłużna. Będzie się zgadzać na wszystko.

– Dlaczego poślubiłaś Richarda? – pyta Lauren, jakby odgadywała jej myśli.

– Byłaś w nim zakochana, wierzyłaś w to? Nie potrafię zrozumieć, jak kobieta taka jak ty mogła się wpakować w taką sytuację. Mogłaś zachować wolność, żyć, tak jak chcesz, bez tych kłamstw. To wydaje mi się... absurdalne.

Adèle ze zdziwieniem patrzy na Lauren. Nie jest w stanie pojąć, co przyjaciółka do niej mówi.

– Poślubiłam go, bo mi się oświadczył. Jako pierwszy i jak dotychczas jedyny. Mógł mi wiele dać. A poza tym moja matka tak się ucieszyła. Lekarz, wyobrażasz sobie?

– Mówisz serio?

– Nie rozumiem, dlaczego miałabym być sama.

– Niezależna nie oznacza sama.

– Tak jak ty, tak?

– Adèle, nie widziałam cię od tygodni, a ty spędziłaś ze mną dziś wieczorem

chyba z pięć minut. Jestem dla ciebie tylko alibi. Postępujesz idiotycznie.

– Nie potrzebuję alibi... Jeśli nie chcesz mi pomagać, znajdę jakieś inne rozwiązanie.

– Nie możesz dalej tak żyć. Richard cię nakryje. I dość mam patrzenia temu biednemu facetowi w oczy i opowiadania mu kłamstw.

– Taksy! – Adèle rzuca się na jezdnię i zatrzymuje samochód. – Dziękuję, że się ze mną przeszłaś. Zadzwoń do ciebie.

Adèle wchodzi do holu swojej kamienicy. Siada na schodach, wyjmując z torebki parę nowych rajstop i nakłada je. Wyciera twarz, szyję i ręce wilgotnymi chusteczkami dla dzieci. Czesze się. Wchodzi na górę.

Salon jest pogrążony w mroku. Jest wdzięczna Richardowi, że na nią nie czekał. Zdejmuje płaszcz i otwiera drzwi do sypialni.

– Adèle? To ty?

– Tak, śpij.

Richard się odwraca. Wyciąga rękę w próżnię, próbuje jej dotknąć.

– Już idę.

Nie zamknął okiennic i gdy Adèle wślizguje się do łóżka, widzi spokojne rysy męża. Ufa mu. Taka jest prosta i brutalna prawda. Czy gdyby się obudził, zobaczyłby ślady, jakie pozostawiła w niej noc? Czy gdyby otworzył oczy, przysunął się do niej, poczułby podejrzany zapach? Czy uznałby, że wygląda na winną? Adèle ma mu za złe jego naiwność, która ją prześladowa, pogłębia jej winę i czyni ją samą jeszcze bardziej godną pogardy. Chciałaby podrapać tę gładką pełną czułości twarz, rozszarpać ten uspokajający materac.

A przecież go kocha. Ma tylko jego na świecie.

Wmawia sobie, że po raz ostatni miała szczęście. Że nikt jej już na tym nie przyłapie. Że będzie odtąd spać w tym łóżku z czystym sumieniem. Będzie mógł na nią patrzeć i nie będzie niczego do zobaczenia.

Adèle dobrze spała. Z kołdrą podciągniętą pod brodę opowiada Richardowi, że śniło jej się morze. Nie zielonkawe stare morze jej dzieciństwa, ale prawdziwe morze, takie z lagunami, zatoczkami i piniami. Leżała na jakiejś twardej gorącej powierzchni. Może na skale. Była sama i bardzo ostrożnie, wstydliwie, zdejmowała stanik. Z przymkniętymi powiekami obracała się do morza i tysiące gwiazdek, odbić słońca w wodzie, nie pozwalało jej szerzej otworzyć oczu.

– I w tym śnie powtarzałam sobie: zapamiętaj ten dzień. Zapamiętaj, jaka byłaś szczęśliwa.

Słyszy na parkiecie kroki syna. Drzwi do sypialni wolno się otwierają i pojawia się okrągła zaspana buzia Luciena.

– Mamo... – jęczy, trąc oczy.

Wspina się na łóżko i mimo że zwykle wzbrania się przed pieszczotami i jest brutalny, kładzie głowę na ramieniu Adèle.

– Dobrze spałeś, kochanie? – pyta go łagodnie i bardzo ostrożnie, jakby się obawiała, że najmniejsza niezręczność zakończy tę błogosławioną chwilę.

– Tak, dobrze spałem.

Wstaje i z dzieckiem na rękach idzie do kuchni. Jest podniecona, jak podnieceni są oszuści, którzy jeszcze nie zostali zdemaskowani. Przepelnia ją wdzięczność, że jest kochana, i paraliżuje myśl, że mogłaby wszystko stracić. Nic teraz nie wydaje się jej cenniejsze od uspokajającego odgłosu maszynki do golenia, który dochodzi z głębi korytarza. Nic nie wydaje się jej warte narażania na niebezpieczeństwo poranków w ramionach syna, tej czułości, tego, że jest mu potrzebna, jak nigdy nikomu innemu nie będzie potrzebna. Smaży naleśniki. Szybko zmienia obrus, który od tygodnia leży na stole, mimo że ma na środku dużą żółtą plamę. Robi kawę dla Richarda i siada obok Luciena. Patrzy, jak gryzie naleśnik i oblizuje palce z dżemu.

Czekając, aż mąż wyjdzie z łazienki, rozkłada kartkę i robi listę. Rzeczy do zrobienia, a zwłaszcza do nadrobienia. Ma bardzo jasny umysł. Wyczyści codzienność, pozbędzie się po kolei swoich lęków. Spełni swój obowiązek.

Gdy przychodzi do redakcji, open space jest niemal pusty. Widzi tylko Clémence, która zresztą zdaje się tu mieszkać. Do tego wiecznie nosi te same ubrania. Adèle robi sobie kawę i sprząta biurko. Wyrzuca stosy wydrukowanych artykułów i zaproszenia na wydarzenia, które już się odbyły. Wkłada do zielonych i niebieskich teczek dokumenty, które wydają się jej ciekawe, ale z pewnością nigdy do nich nie zajrzy. Z jasnym umysłem, spokojnym sumieniem przystępuje do pracy. Liczy „raz, dwa, trzy”, by przezwyciężyć niechęć do rozmów telefonicznych, i zaczyna dzwonić. „Proszę zadzwonić później”. „Nie, takie pytania proszę zadawać e-mailowo”. „Co? Jaka gazeta? Nie, nie mam nic do powiedzenia”. Przeszkody się piętrzą, a ona dzielnie stawia im czoło. Za każdym razem wraca do

walki, zadaje po raz kolejny pytania, na które nie uzyskuje odpowiedzi. Nalega. Gdy nie jest w stanie już dłużej pisać, idzie długim korytarzem na wewnętrzne podwórko. Wychodzi na papierosa z notatkami w ręku i powtarza na głos tytuł i puentę.

O szesnastej artykuł jest gotowy. Za dużo paliła. Nie jest zadowolona. W redakcji panuje ożywienie. Cyril jest podniecony.

– Coś podobnego nigdy się nie zdarzyło w Tunezji. Mówię ci, źle się to skończy. Poleje się krew.

Ma właśnie wysłać artykuł redaktorowi naczelnemu, gdy jej telefon zaczyna wibrować. Biały telefon. Szuka go na dnie torebki. Otwiera.

„Adèle, bez przerwy myślę o tobie, o tej magicznej nocy. Musimy się znowu spotkać. Będę w Paryżu w przyszłym tygodniu, moglibyśmy pójść na drinka lub na kolację, jak będziesz chciała. To się nie może tak skończyć. Nicolas”.

Natychmiast kasuje wiadomość. Jest wściekła. Poznała tego gościa przed miesiącem na konferencji w Madrycie. Nikt nie był tam w nastroju do pracy. Dziennikarze chcieli tylko korzystać z darmowego alkoholu i luksusowych pokoi fundowanych przez jakiś think tank o niejasnych źródłach finansowania. Koło trzeciej w nocy poszła za Nicolasem do jego pokoju. Miał orli nos i bardzo piękne włosy. Kochali się, po prostu. Nie przestawał jej szczypać i gryźć. Nie poprosiła go, by założył prezerwatywę. Była pijana, to prawda, ale pozwoliła mu na stosunek analny bez prezerwatywy.

Następnego dnia w holu hotelowym była dla niego lodowata. Nie odezwała się ani słowem w samochodzie, którym jechali na lotnisko. Wydawał się zaskoczony, zbity z tropu. Najwyraźniej nie rozumiał, że budzi w niej niesmak.

Dała mu swój numer telefonu. Bezwiednie podała mu numer białego telefonu, przeznaczony zwykle tylko dla tych, których chce znowu zobaczyć. Nagle przypomina sobie, że powiedziała mu, gdzie mieszka. Rozmawiali o jej dzielnicy i oznajmił: „Uwielbiam Osiemnastkę”.

Adèle nie ma ochoty iść na tę kolację. Nie może się zdecydować, w co się ubrać, a to znak, że nie będzie to udany wieczór. Jej włosy są pozbawione blasku, a skóra bledsza niż zwykle. Zamyka się w łazience i niemrawo coś odpowiada, gdy Richard ją pogania. Słyszy przez drzwi, jak Richard rozmawia z baby-sitterką. Lucien już śpi.

W końcu ubiera się na czarno. Gdy była młodsza, nigdy nie chodziła w czerni. Miała fantastyczną garderobę, od czerwieni do soczystych pomarańczy, od cytrynowożółtych spódnic do intensywnie niebieskich szpilek. Odkąd zaczęła więdnąć i ma wrażenie, że cały jej blask zniknął, woli ciemne odcienie. Do szarych swetrów i czarnych golfów nosi ciężką biżuterię.

Tego wieczoru wybiera męskie spodnie i sweter z dekoltem na plecach. Turkusową kredką podkreśla oczy zielone, w kolorze japońskiego stawu. Pomalowała usta, po czym starła szminkę. Wokół ust zostawiła czerwony ślad, jakby ją ktoś namiętnie pocałował. Zza drzwi słyszy głos Richarda, który nieśmiało pyta:

– Będziesz już niedługo gotowa?

Wie, że uśmiecha się do baby-sitterki, jakby mówił: „Och, ależ z tych kobiet kokietki”. Adèle jest gotowa, ale chce, żeby na nią czekał. Rozkłada na podłodze ręcznik i kładzie się na nim. Z zamkniętymi oczami nuci piosenkę.

Richard bez przerwy opowiada jej o Xavierze Rançonie, do którego są zaproszeni. Xavier jest znakomitym chirurgiem, pochodzi z rodziny znanych naukowców i lekarzy. „To facet z zasadami”, zaznaczył Richard. A Adèle odpowiedziała, żeby mu sprawić przyjemność: „Cieszę się, że go poznam”.

Taksówka wysadza ich pod bramą, za którą widać prywatną alejkę.

– Co za klasa! – wpada w entuzjazm Richard.

Ona też uważa to miejsce za wspaniałe, ale raczej udławiłaby się, niż dała to po sobie poznać. Wzrusza ramionami. Otwierają bramę i idą wybrukowaną ścieżką w stronę wąskiej trzypiętrowej willi. Nowi właściciele zachowali architekturę art déco, ale dobudowali piętro, na którym urządzili obszerny zadrzewiony taras.

Adèle uśmiecha się nieśmiało. Mężczyzna, który ich wita, pochyła się do niej. Jest dobrze zbudowany i ma na sobie zbyt obcisłą białą koszulę, którą wpuścił w dżinsy.

– Dzień dobry, jestem Xavier.

– Dzień dobry. Sophie – przedstawia się pani domu.

Adèle w milczeniu nadstawia policzek.

– Nie dosłyszałam twojego imienia – przeprasza Sophie głosem nauczycielki.

– Adèle.

– To moja żona. Dobry wieczór – mówi Richard.

Idą na górę po schodach z jasnego drewna i wchodzą do olbrzymiego salonu z dwoma sofami w kolorze zgaszonego brązu i duńskim stołem z lat pięćdziesiątych. Wszystko jest owalne i starannie dobrane. Ścianę w głębi zdobi olbrzymia czarno-biała fotografia przedstawiająca opuszczony kubański teatr. Świeczka na półce wydziela uspokajający zapach luksusowego sklepu.

Richard dołącza do mężczyzn siedzących za barem. Rozmawiają głośno, śmieją się ze starych dowcipów. Zacierają ręce, patrząc, jak Xavier napełnia im kieliszki japońską whisky.

– Napijemy się po lampce? – pyta Sophie otaczając ją kobiety.

Adèle wyciąga kieliszek. Patrzy w stronę mężczyzn i szuka wyjścia awaryjnego, jakiejś furtki, aby do nich dołączyć i uciec z grupy papużek, w której się znalazła. Te kobiety są nikim. Nawet robienie na nich wrażenia nie sprawiłoby jej przyjemności. Umiera, stojąc tu i słuchając ich.

– Więc powiedziałam do Xaviera, posłuchaj, kochanie, jeśli chcemy mieć dodatkowe piętro, to musimy się za to zabrać! Oczywiście remont trwał trzy miesiące, ale dziś efekt jest taki, że mamy salon katedralny w willi w samym centrum Paryża... Remont? Prawdziwy horror! To robota na cały etat. Na szczęście nie pracowałam. A jednocześnie tak bardzo się cieszymy, że to kupiliśmy... Po co marnować tysiące euro na czynsz?... Tutaj? Dziesięć, jedenaście tysięcy za metr kwadratowy. Wierzyć się nie chce... Co? Dzieci? Och, od dawna już śpią! Jesteśmy bardzo zasadniczy, jeśli chodzi o porę chodzenia spać, więc na was nie czekały. Szkoda, że nie możecie ich zobaczyć, tak bardzo urosły... Marie-Lou gra na skrzypcach, a Arsène'owi zaczynamy urozmaicać dietę. Znaleźliśmy im wspianą opiekunkę. Dziewczyna pochodzi z Afryki, jest bardzo sympatyczna. Dobrze mówi po francusku... Tak, dokumenty ma w porządku. Nie mam nic przeciwko zatrudnianiu nielegalnych imigrantów do sprzątnięcia albo do drobnych prac, ale w żadnym razie do pilnowania moich dzieci. To by było nieodpowiedzialne, nie? Jedyne minus jest takie, że przestrzega ramadanu, a to przerasta moją wyobraźnię. Nie można opiekować się dziećmi z pustym żołądkiem... Nie, masz rację, to nierozsądne. Ale myślę sobie, że sama się zorientuje i da sobie z tym spokój. A ty, Adèle, czym się zajmujesz?

– Jestem dziennikarką.

– Och, to musi być interesujące! – wykrzykuje Sophie, napełniając pusty kieliszek, który nadstawia Adèle. Wpatruje się w nią z uśmiechem, jakby patrzyła na nieśmiałe dziecko, które boi się odezwać. – Dobrze, zapraszam do stołu.

Adèle nalewa sobie wina. Xavier, który posadził ją po swojej prawej stronie, wyjmując jej butelkę z rąk i przeprosza, że sam jej nie nalał. Ludzie śmieją się z żartów Richarda. Adèle nie uważa, by był zabawny. Nie rozumie, jak może przyciągać ich uwagę.

Zresztą już ich nie słyszy. Jest urażona, zgorzkniała. Tego wieczoru nie

udaje jej się zaistnieć. Nikt jej nie widzi, nikt jej nie słucha. Nie próbuje nawet przepędzić błysków, które przeszywają jej umysł, parzą powieki. Rusza nogą pod stołem. Chciałaby być naga, pragnie, by ktoś dotykał jej piersi. Chciałaby czuć czyjeś usta na swoich, doświadczyć cichej zwierzęcej obecności. Chce tylko, by ktoś jej pragnął.

Xavier wstaje. Adèle idzie za nim do toalety w głębi wąskiego korytarza. Gdy wychodzi, staje mu na drodze i ociera się o niego tak mocno, iż wyczuwa, że jest speszony. Wraca do jadalni, nie odwracając się. Adèle wchodzi do toalety, staje przed lustrem i porusza wargami, uśmiechając się, naśladując uprzejmą rozmowę z samą sobą. Ma suche fioletowe usta.

Wraca, siada i kładzie rękę na kolanie Xaviera, który gwałtownie cofa nogę. Czuje, z jakim wysiłkiem unika jej wzroku. Adèle pije, żeby dodać sobie odwagi.

– Ma pani synka, Adèle, prawda? – pyta Sophie.

– Tak, za miesiąc skończy trzy lata.

– Cudowny wiek! A kiedy następne?

– Nie wiem. Prawdopodobnie nigdy.

– Och, nie! Tak smutno być jedynakiem. Gdy widzę, jakie to szczęście mieć brata lub siostrę, nigdy nie mogłabym pozbawić go moich dzieci.

– Adèle uważa, że dzieci pochłaniają za dużo czasu – żartuje Richard. – Ale gdy już będziemy mieli duży dom z ogrodem, będzie marzyła tylko o tym, by zobaczyć, jak hasają w nim dzieci, prawda, kochanie? W przyszłym roku przeprowadzamy się do Lisieux. Dostałem propozycję nie do odrzucenia: bym został współnikiem w klinice!

Adèle myśli tylko o jednym. Znaleźć się sam na sam z Xavierem, tylko na pięć minut, tam, w głębi korytarza, gdzie słyhać echo rozmów w salonie. Nie uważa, że jest przystojny ani nawet pociągający. Nie wie, jakiego koloru są jego oczy, ale ma pewność, że poczułaby ulgę, gdyby wsunął rękę pod jej sweter, a potem pod stanik. Gdyby popchnął ją do ściany, ocierał się o nią członkiem, gdyby czuła, że pożąda jej tak jak ona jego. Nie mogliby posunąć się dalej, trzeba by się było spieszyć. Zdażyłaby tylko dotknąć jego penisa, może nawet uklęknąć, żeby go ssać. Zaczęliby się śmiać, wróciliby do salonu. Nie posunęliby się dalej i byłoby doskonale.

Sophie jest kobietą pozbawioną wdzięku, myśli Adèle, wpatrując się w ohydny fantazyjną biżuterię, którą założyła pani domu. Naszyjnik z niebieskich i żółtych plastikowych kulek na jedwabnej wstążce. To płaska kobieta, przekonuje się, idiotka i gaduła. Zastanawia się, jak tego rodzaju kobiety, zwykle kobiety, uprawiają seks. Zastanawia się, czy potrafią czerpać rozkosz, dawać ją, czy mówią „kochać się” czy „pieprzyć”.

W taksówce, którą wracają do domu, Richard siedzi spięty. Adèle wie, że jest zirytowany. Że za dużo wypła i zrobiła z siebie widowisko. Ale Richard nic nie mówi. Pochyla głowę do tyłu, zdejmuje okulary i zamyka oczy.

– Dlaczego mówisz wszystkim, że przenosimy się na prowincję? Nigdy nie powiedziałam ci, że się zgadzam, a ty zachowujesz się tak, jakby to było ustalone – prowokuje go Adèle.

– A nie zgadzasz się?

– Tego też nie powiedziałam.

– Więc nic nie mówisz. Zresztą ty nigdy nic nie mówisz – stwierdza spokojnie. – Nie wypowiadasz się, więc nie miej mi za złe, że podejmuję decyzje. I szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego musisz się tak zachowywać. Upijać się, traktować ludzi z góry, jakbyś wszystko w życiu zrozumiała i jakby inni byli w twoich oczach stadem baranów. Wiesz, jesteś równie zwyczajna jak my, Adèle. W dniu, w którym się z tym pogodzisz, staniesz się znacznie szczęśliwsza.

Adèle miała dziesięć lat, gdy po raz pierwszy odwiedziła Paryż. W czasie ferii na Wszystkich Świętych Simone wynajęła pokój w hoteliku przy boulevard Hausmann. Przez pierwsze dni zostawiała Adèle samą w pokoju. Kazała jej przysiąc, że pod żadnym pozorem nikomu nie będzie otwierać. „Hotel to niebezpieczne miejsce. Zwłaszcza dla małych dziewczynek”. Adèle miała ochotę jej powiedzieć: „W takim razie mnie nie zostawiaj”. Ale nic nie powiedziała.

W trzecim dniu Adèle położyła się pod grubą kołdrą na dużym łóżku hotelowym i włączyła telewizor. Przez okienko wychodzące na szare ponure podwórko widziała, jak zapada zmierzch. Noc wdarła się do pokoju, a matki dalej nie było. Adèle próbowała zasnąć, kołysana śmiechem i dźwiękami reklam, które przesuwały się na ekranie. Bolała ją głowa. Straciła poczucie czasu.

Wygłodniała, nie miała odwagi sięgnąć do minibaru, bo matka powiedziała, że to „pułapka na turystów”. Grzebała w plecaku w poszukiwaniu batonika albo resztek kanapki z szynką. Znalazła tylko dwa brudne cukierki, do których przykleiły się strzępy papierowej chusteczki do nosa.

Właśnie zasypiała, gdy ktoś zapukał do drzwi. Natarczywie. Uderzał coraz mocniej. Adèle podeszła do drzwi, w których nie było judasza. Nie mogła zobaczyć, kto za nimi stoi, i nie miała odwagi otworzyć. „Kto tam?” – spytała drżącym głosem. Nie dostała żadnej odpowiedzi. Uderzenia były coraz mocniejsze, słyszała kroki w korytarzu hotelowym. Miała wrażenie, że dociera do niej oddech, długi i gardłowy, oddech rozdrażniony, który w końcu wyważy drzwi.

Tak się bała, że schowała się pod łóżkiem, zlane potem, przekonana, że napastnicy wejdą i znajdą ją zalaną łzami, z twarzą wtuloną w beżową wykładzinę. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić na policję, nie wzywać ratunku, nie zacząć wrzeszczeć, aż ktoś przyjdzie jej z pomocą. Ale nie była w stanie się ruszyć, na wpół omdlała, sparaliżowana ze strachu.

Gdy Simone otwarła drzwi około dwudziestej drugiej, Adèle spała. Spod łóżka wystawała jej stopa i Simone chwyciła ją za kostkę.

– Co ty tu robisz? Cóż tyś znowu wymyśliła?

– Mamo! Wróciłaś! – Adèle wstała i rzuciła się w ramiona matki. – Ktoś próbował wejść! Schowałam się. Tak się bałam!

Simone chwyciła ją za ramiona, oglądnęła z uwagą i zimnym głosem powiedziała:

– Dobrze zrobiłaś, że się schowałaś. Właśnie tak należało zrobić.

W przededniu ich powrotu do domu Simone dotrzymała obietnicy i pokazała Adèle miasto. Towarzyszył im jakiś mężczyzna, którego twarzy ani nawet nazwiska Adèle nie pamięta. Przypomina sobie tylko, że pachniał piżmem i tytoniem i że Simone rozkazała zdenerwowanym, pełnym napięcia głosem: „Adèle, powiedz panu dzień dobry”.

Pan zabrał je na obiad do restauracji niedaleko boulevard Saint-Michel i dał Adèle skosztować pierwszy raz w życiu piwa. Przeszli na drugą stronę Sekwany i dotarli aż do Wielkich Bulwarów. Adèle zatrzymywała się przed wystawami sklepów z zabawkami w pasażach Verdeau, Jouffroy i w galerii Vivienne, nie słuchając Simone, która się niecierpliwiła. A potem poszli na Montmartre. „To się spodoba małej”, powtarzał Pan. Na placu Pigalle wsiedli do kolejki turystycznej i Adèle, wciśnięta między matkę i tego mężczyznę, z przerażeniem odkryła Moulin-Rouge.

Z wizyty na Pigalle zachowała ponure zatrwajające wspomnienia, zarówno przygnębiające, jak i niesłychanie żywe. Pamięta, ale może tylko tak jej się wydaje, że na boulevard Clichy widziała dziesiątki prostytutek rozebranych mimo listopadowej mżawki. Pamięta grupy punków, chwiejących się na nogach narkomanów, sutenerów o wypomadowanych włosach, transseksualistów ze szpiczastymi piersiami, w obcisłych spódniczkach z panterki. Siedząc bezpiecznie w podskakującym pociągu przypominającym gigantyczną zabawkę, wciśnięta między matkę i mężczyznę, którzy przerzucali się lubieżnymi wspomnieniami, Adèle poczuła po raz pierwszy mieszaninę strachu i pragnienia, niesmaku i erotycznego wzruszenia. Nieczystego pragnienia, aby się dowiedzieć, co się dzieje za drzwiami hoteli na godziny, w głębi podwórek kamienic, na fotelach w kinie Atlas, na zapleczu sex-shopów, których różowo-niebieskie neony przebijały mrok. Nigdy więcej ani w ramionach mężczyzn, ani w czasie spacerów, które po latach odbywała po tym samym bulwarze, nie zaznała tamtego magicznego uczucia, że dotyka palcem czegoś, co jest podłe i obsceniczne, mieszczańskiej perwersji i ludzkiej nędzy.

Dla Adèle Boże Narodzenie i Nowy Rok są ciemnym zimnym tunelem i karą. Ponieważ Richard to człowiek dobry i szlachetny, a rodzina jest dla niego najważniejsza, obiecał, że zajmie się wszystkim. Kupił prezenty, dał do przeglądu samochód i po raz kolejny znalazł wspaniały podarunek dla Adèle.

Ona musi odpocząć. Jest wykończona. Nie ma dnia, by ktoś nie zauważył, że schudła, ma ściągnięte rysy i zmienne humory. „Mroźne powietrze dobrze ci zrobi”. Jakby w Paryżu powietrze było mniej mroźne niż gdzie indziej.

Co roku spędzają święta Bożego Narodzenia w Caen z rodziną Robinsonów, a Nowy Rok z rodzicami Adèle. To już tradycja, jak lubi powtarzać Richard. Na próżno próbowała go przekonać, że nie ma sensu jeździć do Boulogne-sur-Mer w odwiedziny do jej rodziców, bo im na tym nie zależy. Ale Richard nalega ze względu na Luciena, „który powinien znać swoich dziadków”, a także na nią, „bo rodzina się liczy”.

Dom rodziców Richarda pachnie herbatą i mydłem marsylskim. Odile, teściowa Adèle, rzadko opuszcza wielką kuchnię. Czasami przysiada na chwilę w salonie, uśmiecha się do współbiesiadników pijących aperitif, zagaja rozmowę i znowu znika wśród garnków. „Ależ zostań z nami, mamó, prosi Clémence, siostra Richarda. Przyjechaliśmy tu, żeby się z tobą zobaczyć, a nie żeby jeść”, lubi powtarzać, zającując się tartinkami z foie gras albo biszkoptami z cynamonem. Zawsze proponuje matce pomoc i przysięga, że zrobi następną kolację. I ku wielkiej uldze Odile zapada w niekończącą się drzemkę poobiednią, często zbyt pijana, by rozpoznać składniki przystawki.

Robinsonowie potrafią przyjmować gości. Richarda i Adèle witają odgłosy śmiechu i strzelających korków od szampana. W rogu salonu stoi olbrzymia choinka. Jest tak wysoka, że jej czubek dotyka sufitu i zawija się, co sprawia wrażenie, że zaraz runie.

– Śmiesznie wygląda ta choinka, nie? – chichocze Odile. – Powiedziałam Henriemu, że jest za wysoka, ale nie chciał mnie słuchać.

Henri wzrusza ramionami i rozkłada ręce w geście bezsilności.

– Starzeję się...

Patrzy głęboko błękitnymi oczami w oczy Adèle, jakby ją rozpoznawał, jakby byli ulepieni z tej samej gliny, należeli do tego samego plemienia. Ona pochyła się i całuje go, wdychając pełną piersią zapach wetywerii i pianki do golenia.

– Do stołu!

Robinsonowie jedzą, a gdy jedzą, rozmawiają o jedzeniu. Wymieniają się przepisami, adresami restauracji. Przed obiadem Henri schodzi do piwnicy po wino, a butelki są witane głośnymi, pełnymi ekscytacji okrzykami „ach”. Wszyscy patrzą, jak otwiera obiecaną butelkę, leje nektar do karafki, komentuje kolor.

Panuje cisza. Henri nalewa odrobinę wina do kieliszka, ocenia jego bukiet. Próbuje. „Ach, moi mili...”

Podczas śniadania, które dzieci jedzą, siedząc na kolanach rodziców, Odile zwraca się do nich z poważną miną:

– Proszę, powiedzcie mi teraz, co wam zrobić na obiad? – pyta wolno.

– Co chcesz – odpowiadają zwykle Clémence i Richard przyzwyczajeni do rytualnych pytań matki.

W południe, gdy Henri otwiera trzecią butelkę hiszpańskiego wina, „które tak dobrze się pije”, z wargami jeszcze tłustymi od pasztetów i serów, Odile wstaje i z zeszytem w ręku podnosi lament:

– Nie mam żadnego pomysłu na to, co podać dziś na kolację. Na co macie ochotę?

Nikt nie odpowiada, a jeśli już, to bez przekonania. Podchmielony Henri, który walczy z nieodpartą chęcią, by się położyć, nieraz w końcu się denerwuje.

– Jeszcze nie skończyliśmy obiadu, a ty nam już dupę zawracasz!

Odile milknie i obraża się jak dziewczynka.

Te zabiegi w równym stopniu bawią Adèle, jak ją irytują. Nie rozumie tego hedonizmu w dobrym tonie, obsesji, by „dobrze zjeść i wypić”, która zdaje się ogarniać wszystkich. Zawsze lubiła być głodna. Czuć, że słabnie, chwieje się na nogach, słyszeć, jak burczy jej w brzuchu, a potem przewyciężyć to, nie mieć już ochoty na jedzenie, być ponad to. Kultywowała chudość jak sztukę życia.

Tego wieczoru kolacja znowu ciągnie się w nieskończoność. Nikt nie zauważył, że Adèle prawie nie jadła. Odile już nie nalega, żeby wzięła dokładkę. Richard jest trochę pijany. Rozmawia o polityce z Henrim. Wyzywają się od faszystów i reakcjonistów. Laurent próbuje włączyć się do rozmowy:

– Jak kiedyś szłem...

– Szedłem – przerywa mu Richard. – Nie mówi się „szłem”, tylko „szedłem”.

Adèle kładzie rękę na ramieniu Laurenta, wstaje i idzie na górę do pokoju.

Odile zawsze daje im żółty pokój, najcichszy i największy. Pomieszczenie jest trochę ponure, a podłoga lodowata. Adèle kładzie się do łóżka, pociera stopy o siebie i zapada w ciężki sen. W nocy chwilami wydaje się jej, że odzyskuje świadomość. Jej umysł czuwa, ale ciało jest sztywne jak trup. Czuje obok siebie obecność Richarda. Ma dojmujące uczucie, że już nigdy nie otrząśnie się z letargu. Że nie zbudzi się z głębokiego snu.

Słyszy, jak Richard bierze prysznic. Zdaje sobie sprawę z upływu czasu. Domyśla się, że jest już ranek. Dociera do niej głos Luciena, szcęk naczyń daleko, w kuchni Odile. Jest późno, lecz nie ma siły wstać. Jeszcze pięć minut, myśli sobie. Jeszcze pięć minut i dzień będzie mógł się zacząć.

Gdy wychodzi z pokoju ze spuchniętymi oczami i mokrą głową, sprzątnięto

już stół po śniadaniu. Richard zostawił jej mały półmisek w kuchni. Adèle siada z filiżanką kawy. Uśmiecha się do Odile, która wzdycha:

– Mam dziś tyle roboty, nie wiem, jak dam sobie radę.

Adèle patrzy przez okno na ogród. Duże jabłonie, mżawka i dzieci na mokrej zjeżdżalni, opatulone w kurtki puchowe. Richard bawi się z nimi. Włożył wysokie buty i macha do Adèle, by do nich dołączyła. Jest za zimno. Nie chce jej się wychodzić.

– Jesteś bardzo blada. Źle wyglądasz – mówi Richard, wchodząc. Wyciąga rękę do jej twarzy.

Henri i Clémence bardzo chcieli zwiedzić dom.

– Muszę go zobaczyć. Wiesz, że w okolicy nazywają go dworkiem?

Odile prawie wypchnęła ich na zewnątrz, szczęśliwa, że będzie sama w trakcie przygotowań do Bożego Narodzenia. Laurent poświęcił się i został z dziećmi.

Richard jest zdenerwowany. Beszta Clémence, która ociąga się z wejściem do samochodu. Każe obiecać ojcu, że nie będzie się odzywał w czasie zwiedzania.

– Ja będę zadawał pytania, rozumiano? Nie mieszaj się do tego.

Grzeczna i obojętna Adèle siedzi z tyłu. Patrzy na grube uda Clémence, które rozlewają się na siedzeniu. Na jej dłonie z obgryzionymi paznokciami.

Richard bez przerwy się odwraca. Na próżno powtarza mu, żeby patrzył przed siebie, ale patrzy na nią, jakby chciał zobaczyć wrażenie, jakie wywołuje w niej ta wiejska droga. Co myśli o wilgotnych wzgórzach, drodze, która pnie się do góry, zabytkowej pralni w dole? Co myśli o wjeździe do miasteczka? O kościele, który jako jedyny przetrwał wojenne bombardowania? Czy wyobraża sobie, jak codziennie przechadza się wśród wzgórz porośniętych krzywymi jabłoniami? Jak przemierza doliny poprzecinane strumieniami, idzie ścieżynką prowadzącą do domu? Czy podoba jej się ten mur porośnięty powojem? Ze ściągniętą twarzą niemal przyklejoną do szyby Adèle powstrzymuje się od wszelkich komentarzy. Kontroluje nawet ruchy rzęs.

Richard zatrzymuje samochód przed drewnianą bramą. Pan Rifoul czeka na nich z rękami skrzyżowanymi na plecach jak kasztelan, który zastygł w czasie. Przypomina prawdziwego olbrzyma, jest otyły i czerwony. Jego dłonie są tak duże jak twarz dziecka, a stopy zdają się zagłębiać w ziemię. Gęste kręcone włosy przechodzą od żółci w biel. Z daleka robi wrażenie. Ale gdy Adèle podchodzi, by się z nim przywitać, zauważa jego długie paznokcie. Brakujący guzik w środku koszuli. Podejrzaną plamę w kroku.

Właściciel wskazuje drzwi wejściowe i wchodzi do środka. Richard pokonuje zewnętrzne schody w podskokach, jak szczeniak. Wydaje achy i ochy, zwiedzając salon, kuchnię i werandę. Dowiaduje się o ogrzewanie, stan instalacji elektrycznej. Zerka do notesu i pyta: „A czy dach nie przecieka?”. Po zwiedzaniu salonu, z którego duże przeszklone drzwi prowadzą do czarującego ogrodu, gdy mają się udać do starej kuchni, pan Rifoul wpuszcza ich do małego pomieszczenia urządzonego jak gabinet. Niechętnie otwiera drzwi. Pokój nie był sprzątny i w smudze światła przebijającej przez niebieskie zasłony unosi się gruba warstwa kurzu.

– Moja żona dużo czytała. Książki zabiorę, ale jeśli państwo chcą, mogę zostawić biurko.

Adèle wpatruje się w przysunięte do ściany szpitalne łóżko, na którym leży

starannie złożona biała pościel. Pod fotelem schował się kot. „Pod koniec nie była już w stanie wejść na górę”. Idą drewnianymi schodami. Na wszystkich ścianach wiszą zdjęcia uśmiechniętej pięknej zmarłej. Na stoliku nocnym w dużej sypialni, której okna wychodzą na stuletni kasztanowiec, leży szczoteczka do zębów. Pan Rifoul pochyla się i olbrzymią dłonią wygładza narzutę w różowe kwiatki.

To dom na starość, myśli Adèle. Dom dla ludzi o czułych sercach. To dom do gromadzenia wspomnień, przyjmuje się w nim kolegów, którzy wpadają z wizytą, i tych, którym się nie powiodło. Jest jak arka, przytułek, schronienie, sarkofag. Idealne miejsce dla duchów. Dekoracja teatralna.

Czy aż tak się zestarzel? Czy może to być kres ich marzeń?

Czy przyszła już pora umierać?

Wychodzą z domu, we czwórkę oglądają elewację. Richard odwraca się w stronę parku i wyciąga rękę.

– Jak daleko sięga teren?

– Daleko, bardzo daleko. Cały ten sad tutaj, widzi pan? To wszystko należy do pana.

– Będziesz miała z czego robić ciasta i kompoty dla Luciena! – śmieje się Clémence.

Adèle patrzy na swoje stopy. Jej lakierki przemokły od wilgotnej trawy. To nie są buty na wieś.

– Daj mi kluczyki – prosi Richarda.

Siada w samochodzie, zdejmuje buty i ogrzewa stopy w rękach.

– Xavier? Skąd wzięłeś mój numer?

– Zadzwoń do ciebie do pracy. Powiedziano mi, że jesteś na urlopie, ale wyjaśniłem, że sprawa jest pilna...

Powinna odpowiedzieć, że cieszy się, iż dzwoni, ale nie powinien robić sobie złudzeń. Naprawdę przeprasza za swoje zachowanie w tamten wieczór, nie powinna była. Za dużo wypłała, było jej trochę smutno, nie wie, co jej odbiło. To do niej niepodobne. Nigdy niczego takiego nie zrobiła. Powinni o tym zapomnieć, zachowywać się tak, jakby to się nigdy nie zdarzyło. Tak jej wstyd. A poza tym kocha Richarda, nigdy nie mogłaby mu tego zrobić, zwłaszcza z nim, z Xavierem, którego on tak podziwia i jest taki dumny, że się przyjaźnią.

Nie mówi nic takiego.

– Nie przeszkadzam ci? Możesz rozmawiać?

– Jestem u teściów, ale tak, mogę rozmawiać.

– Wszystko u ciebie w porządku? – pyta zupełnie innym głosem.

Mówi, że chciałby się z nią spotkać. Że wywarła na nim tak wielkie wrażenie, iż tamtej nocy nie zmrużył oka. Okazał jej chłód, bo był zaskoczony jej zachowaniem i swoim pożądaniem. Zdaje sobie sprawę, że nie powinien, próbował przewyciężyć chęć zadzwonienia do niej. Zrobił wszystko, by przestać o niej myśleć. Ale musi się z nią zobaczyć.

Po drugiej stronie Adèle milczy. Uśmiecha się. Jej cisza jest krępująca dla Xaviera, który nie przestaje mówić i wreszcie proponuje, by umówili się na drinka.

– Gdzie będziesz chciała. Kiedy będziesz chciała.

– Lepiej by było, gdyby nikt nie widział nas razem. Jak miałabym to wyjaśnić Richardowi?

Żałuje, że to powiedziała. Xavier się domyśli, że to dla niej nie pierwszozna, że te środki ostrożności to jej codzienność.

Przeciwnie, bierze to za szacunek, za nieśmiałość, ale zdecydowane pożądanie.

– Masz rację. Po twoim powrocie? Zadzwoń do mnie, proszę.

Wybrała ciemnoczerwoną sukienkę. Sukienkę z koronki z krótkimi rękawami, miejscami prześwituje jej spod niej brzuch i uda. Wolno rozkłada sukienkę na łóżku. Zrywa etykietkę, zaciągając przy tym jedną nitkę. Powinna była zadać sobie trud i pójść po nożyczki.

Ubiera Luciena w koszulę i skórzane buciki, które kupiła mu babcia. Jej syn siedzi na podłodze z ciężarówką między nogami, jest bardzo blady. Od dwóch dni nie śpi. Wstaje o świcie, nie chce spać po południu. Z szeroko otwartymi oczami słucha obietnic dorosłych dotyczących nocy wigilijnej. Rozbawiony, a potem zmęczony, pada ofiarą ich szantażu. Nie wierzy już w groźby, którymi go straszą. „Jak nie będziesz grzeczny...” Niech Święty Mikołaj już przyjdzie. Niech to się skończy.

Stoi u szczytu schodów, trzymając syna za rękę, i wie, że Laurent na nią patrzy. Gdy Adèle schodzi, Laurent ma zamiar coś powiedzieć, pochwalić jej prowokującą sukienkę, ale bąka coś, czego ona nie słyszy. Przez cały wieczór robi jej zdjęcia, utrzymując, że Clémence ma obsesję utrwalania wspomnień. Adèle udaje, iż nie zauważa, że mężczyzna obserwuje ją, kryjąc się za aparatem. On sądzi, że przypadkowo uchwycił zimną niewinną piękność. A dostaje tylko starannie wyrachowane pozy.

Odile ustawia fotel koło choinki. Henri nalewa do kieliszków szampana. Clémence tnie papier na kawałki, w tym roku Lucien po raz pierwszy będzie wskazywał osobę, która dostanie prezent. Adèle czuje się skrępowana. Chciałaby dołączyć do dzieci w jadalni i położyć się pośród klocków Lego i wózków dla lalek. Uświadamia sobie ze zdziwieniem, iż modli się, by jej nie wylosowano.

Mimo to zostaje wylosowana.

– Ha, Adèle! – zaczynają krzyczeć. Zacierają ręce, zaczynają nerwowy taniec wokół fotela.

– Widziałeś prezent Adèle? Henri, czy widziałeś pudełeczko w czerwonym papierze? – niepokoje się Odile.

Richard nic nie mówi.

Nie chcąc psuć niespodzianki, siedzi na oparciu kanapy. Gdy kolana Adèle toną już pod stosem szalików i bamboszy, których nigdy nie założy, oraz książek kucharskich, których nigdy nie otworzy, Richard podchodzi do niej. Podaje jej pudełeczko. Clémence rzuca mężowi pełen wyrzutów spojrzenie.

Adèle rozrywa papier i gdy na pomarańczowym pudełeczku pojawia się logo Hermès, Odile i Clémence wydają westchnienie zadowolenia.

– Chyba oszalałeś. Nie powinienesz był... – Adèle mówiła to samo już w zeszłym roku.

Pociąga za wstążkę i otwiera pudełko. W pierwszej chwili nie wie, co to jest. Złote koło z różowymi kamieniami, ozdobione u góry płaskorzeźbą

przedstawiającą trzy kłosa zboża. Patrzy na klejnot, nie dotykając go, nie podnosząc głowy, by nie napotkać wzroku Richarda.

– To broszka – tłumaczy jej.

Broszka.

Robi się jej bardzo gorąco. Poci się.

– Przepiękna – mruży Odile.

– Podoba ci się, kochanie? To stary wzór, byłem pewien, że będzie do ciebie pasować. Pomyślałem o tobie, jak tylko ją zobaczyłem. Uważam, że jest bardzo elegancka, nie?

– Tak, tak. Bardzo mi się podoba.

– Więc ją przymierz! Wyjmij ją przynajmniej z pudełka. Mam ci pomóc?

– Jest wzruszona – dodaje Odile z palcami przyklejonymi do podbródka.

Broszka.

Richard wyjmuje klejnot z pudełka i naciska na szpilkę, która się podnosi.

– Wstań, tak będzie łatwiej.

Adèle wstaje i Richard delikatnie przypina jej broszkę do sukienki, tuż nad lewą piersią.

– Oczywiście takich rzeczy nie nosi się do tego rodzaju sukienek, ale jest ładna, nie?

Nie, oczywiście, że nie pasuje do tego rodzaju sukienek. Musiałaby pożyczyć od Odile garsonkę, a do tego apaszkę. Musiałaby sobie zapuścić włosy, czesać je w kok, nosić czólenka na kwadratowych obcasach.

– Bardzo ładna, kochanie. Mój syn ma dobry gust – cieszy się Odile.

Adèle nie idzie z Robinsonami na pasterkę. Jest rozpalona i zasypia w ciemnoczerwonej sukience skulona pod kołdrami.

– Mówiłem ci, że się pochorujesz – mówi ze smutkiem Richard.

Na próżno trze jej plecy i przykrywa ją kolejnymi kołdrami, jest przemarznięta. Drżą jej ramiona, szczękają zęby. Richard kładzie się przy niej i obejmuje ją. Głaszcze po głowie. Każe jej połknąć lekarstwa, tak jak Lucienowi, gdy jest chory, strojąc zabawne miny.

Często jej opowiadał, że chorzy na raka zaczynają w agonii przeproszać. Zanim wydadzą ostatnie tchnienie, proszą żyjących o wybaczenie win, których nie zdążą im wyznać. „Wybaczcie mi, wybaczcie”. Adèle boi się, że zacznie mówić w malignie. Słabość budzi jej obawy. Boi się, że zacznie się zwierzać temu, który ją pielęgnuje, więc wykorzystuje resztkę energii, jaka jej pozostała, by wtulić twarz w mokrą poduszkę. Milczeć. Przede wszystkim milczeć.

Simone otwiera drzwi z papierosem przyklejonym do warg. Krzywo zawiązana sukienka portfelowa odsłania jej opaloną wysuszoną pierś. Ma cienkie nogi i tłusty brzuch. Na jej zębach widać ślady szminki i Adèle nie może się powstrzymać, by nie przejechać językiem po swoich. Przygląda się warstwom taniego tuszu, od którego jej matce pozlepiały się rzęsy, dostrzega pociągnięcia niebieskiej kredki na pomarszczonych powiekach.

– Richard, kochany, tak się cieszę, że cię widzę. Byłam taka rozczarowana, że nie obchodzicie z nami świąt. Wiem co prawda, że u twoich rodziców wszystko jest na poziomie. Nam się nie przelewa i nie możemy sobie pozwolić na taką elegancję.

– Dzień dobry, Simone. My też się zawsze cieszymy, jak tu przyjeżdżamy – mówi z entuzjazmem Richard, wchodząc do mieszkania.

– Miło mi to słyszeć! Wstawaj, Kader, widzisz przecież, że Richard przyjechał – krzyczy Simone do męża rozpartego w skórzanym fotelu.

Adèle stoi w progu. Na rękach trzyma śpiącego Luciena. Patrzy na sofę z niebieskim obiciem, której widok przyprawia ją o dreszcze. Salon wydaje się jej jeszcze mniejszy, jeszcze brzydszy niż zwykle. Stojąca naprzeciw kanapy czarna biblioteczka jest zastawiona bibelotami i zdjęciami jej i Richarda, i matki w młodości. Kolekcję pudełek zapalek leżących w dużej miseczce pokrywa warstwa kurzu. W wazonie w chińskie wzory ułożono sztuczne kwiaty.

– Simone, papieros! – upomina ją Richard, wolno grożąc palcem.

Simone gasi papierosa i przykleja się do ściany, żeby przepuścić Adèle.

– Nie całuję cię. Masz na rękach małego, nie będziemy go budzić.

– Dobrze. Dzień dobry, mamó.

Adèle idzie przez małe mieszkanie do swojego pokoju z dzieciństwa. Nie odrywa wzroku od podłogi. Powoli rozbiera Luciena, który otwarł oczy i wyjątkowo się nie wrywa. Kładzie go do łóżka. Czyta mu więcej bajek niż zwykle. Chłopiec śpi głęboko, gdy otwiera ostatnią książkę. Czyta dalej, cichutko, historię o króliku i lisicy. Dziecko rusza się i spycha ją z łóżka.

Adèle przechodzi przez ciemny korytarz cuchnący stęchłym praniem. Dołącza do Richarda, który siedzi w kuchni za żółtym laminowanym stołem i uśmiecha się porozumiewawczo do żony.

– Twój syn długo zasypia – mówi do niej Simone. – Za bardzo go rozpieszczasz. Ja nigdy nie robiłam z tobą takich cyrków.

– Lubi bajki, to wszystko.

Adèle kradnie papierosa, którego jej matka trzyma w palcach.

– Mogliście przyjechać wcześniej. Jak tak dalej pójdzie, siądziemy do kolacji koło dziesiątej. Na szczęście Richard dotrzymuje mi towarzystwa. – Uśmiecha się i podnosi językiem protezę poślankę siekacza. – Co za szczęście, żeśmy cię

znaleźli, kochany Richardzie. To prawdziwy cud. Z Adèle zawsze była taka niezdara, taka cnotka. Nigdy słowem się nie odzywała ani nie uśmiechała. Myśleliśmy, że zostanie starą panną. Mówiłam jej, żeby była miłsza, no, żeby mieli na nią chętkę! Ale była taka uparta, taka skryta. Nie można było z niej nic wyciągnąć. A przecież faceci się za nią uganiali, ach, pod tym względem moja Adèle miała powodzenie. Prawda, że miałaś powodzenie? Widzisz, nie odpowiada. Udaje dumną. Mówiłam jej: „Adèle, musisz wziąć się w garść, jeśli chcesz się zachowywać jak księżniczka, to znajdź sobie księcia, bo nie mamy pieniędzy, żeby utrzymywać cię do końca życia. Twój ojciec jest chory, a ja harowałam przez całe życie, więc też mam prawo skorzystać z młodości. Nie bądź głupia jak ja” – tak właśnie mówiłam Adèle. „Nie wychodź za pierwszego lepszego, bo będziesz potem płakać rzewnymi łzami”. Byłam piękna, wiesz, Richardzie? Pokazywałam ci już to zdjęcie? To z żółtym renaultem. Pierwsze w całej wsi. I zauważyłeś? Mam buty dopasowane do torebki. Jak zawsze! Byłam najelegantszą kobietą w całej wsi, każdy ci to powie. Nie, wspaniale, że udało jej się znaleźć takiego mężczyznę jak ty. Naprawdę mamy szczęście.

Ojciec ogląda telewizję. Nie wstał, odkąd przyjechali. Jest pochłonięty spektaklem sylwestrowym w Lido. Patrzy ciężkim wzrokiem zielonymi oczami, które mimo wypełnionych wodą worów zachowały blask i pewną wyniosłość. Pomimo wieku ma jeszcze gęstą ciemną czuprynę. Cienkie siwe pasemka rozświetlają mu skronie. Jego czoło, olbrzymie czoło, jest nadal równie gładkie.

Adèle zajmuje miejsce obok niego. Delikatnie siada na sofie i kładzie dłonie na udach.

– Cieszysz się z telewizora? Richard go wybrał, wiesz. To najnowszy model – wyjaśnia mu bardzo łagodnym głosem.

– Jest bardzo dobry, córeczko. Zbyttno mnie rozpieszczasz. Nie powinnaś wydawać na to pieniędzy.

– Chcesz się czegoś napić? Zaczęli bez nas aperitif w kuchni.

Kader podnosi rękę i wolno poklepuje Adèle po kolanie. Ma długie opalone palce zakończone błyszczącymi, gładkimi bardzo białymi paznokciami.

– Zostaw ich, nie potrzebują nas – szepcze, nachylając się do niej. Uśmiecha się porozumiewawczo i wyjmuje spod stołu butelkę whisky. Nalewa dwie szklaneczki. – Simone uwielbia się popisywać, gdy tylko zjawi się twój mąż. Znasz swoją matkę. Nieustannie wydaje kolacje, żeby zrobić wrażenie na sąsiadach. Gdyby mi tak nie dawała w kość, gdyby bez przerwy się nie wtrącała, miałbym prawdziwe życie. Zrobiłbym to co ty. Wyjechałbym do Paryża. Jestem pewien, że dziennikarstwo też by mi się podobało.

– Słyszyny cię, Kader – chichocze Simone.

Odwraca się do telewizora i ściska delikatnie kolano córki.

Simone nie ma prawdziwego stołu w jadalni. Adèle pomaga jej rozłożyć

półmiski na dwóch niskich okrągłych stolikach składających się z płyty z brązu i drewnianych kozłów. Jedzą w salonie, Kader i Adèle siedzą na sofie, a Richard i Simone na małych niebieskich satynowych pufach. Richard z trudem stara się ukryć, że jest mu niewygodnie. Ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu i je z kolanami pod brodą.

– Zerknę na Luciena – przeprasza Adèle.

Wchodzi do swojego pokoju z dzieciństwa. Lucien śpi z głową wystającą z łóżka. Adèle przysuwa dziecko do ściany, kładzie się obok niego. Dociera do niej muzyka z Lido i zamyka oczy, by nie słyszeć matki. Zaciska pięści. Ma w uszach już tylko porywającą muzykę z kabaretu, jej powieki wypełniają się gwiazdami i cekinami. Wolno porusza rękami, wczepia się w nagie ramiona tancerki. Też tańczy, rozmarzona, piękna i śmieszna w przebraniu zwierzęcia cyrkowego. Już się nie boi. Jest już tylko ciałem wystawionym na pokaz, by uszczęśliwić turystów i emerytów.

Święta się skończyły, wróci do Paryża, do samotności, do Xaviera. Będzie mogła wreszcie opuszczać posiłki, milczeć, oddawać Luciena pod cudzą opiekę. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden: szczęśliwego Nowego Roku, Adèle!

Nic nie przebiegło tak, jak było planowane. Po pierwsze nie znaleźli samochodu. Adèle miała piętnaście lat, a Louis siedemnaście, ale zarzekął się, że jeden z jego kolegów, kilkakrotny repetent, który w czasie lekcji wałęsał się pod liceum, zawiezie ich na plażę samochodem swojego ojca. W niedzielę rano kolega nie dał znaku życia. „Trudno, pojedziemy autobusem”. Adèle się nie odezwała. Nie przyznała się, że matka zabrania jej korzystać z komunikacji publicznej, a już zwłaszcza by wyjechać z miasta, do tego w towarzystwie chłopców. Czekali na autobus ponad dwadzieścia minut. Adèle włożyła zbyt obcisłe dżinsy, czarny podkoszulek i stanik matki. W nocy ogoliła sobie nogi w maleńkiej łazience. Kupiła w sklepie spożywczym zwykłą maszynkę do golenia i okazała się straszną niezdara. Pocięła sobie całe nogi. Miała nadzieję, że nie będzie tego widać.

W autobusie Louis usiadł koło niej. Objął ją ramieniem. Wolał rozmawiać z nią niż z kolegami. Pomyślała sobie, że traktuje ją jak swoją żonę, jakby była jego, i nawet jej się to podobało.

Podróż trwała ponad pół godziny, a gdy dojechali do końcowego przystanku, musieli jeszcze sporo iść, żeby dotrzeć do domu kolegi Louisa, słynnego domu na plaży, do którego dał mu klucze. A klucze nie wchodziły do zamka. Nie pasowały do drzwi. Na próżno Louis naciskał, próbował włożyć je raz w jedną, raz w drugą stronę, do frontowych i tylnych drzwi, żadne nie chciały ustąpić. Przejechali taki kawał drogi, Adèle nakłamała rodzicom, była tu sama w towarzystwie czterech chłopaków, mieli trawę, alkohol, a klucz nie pasował.

– Wejdziemy przez garaż – zaproponował Frédéric, który znał dom i był pewien, że tamtędy można się dostać do środka. – Nie ma samochodu – dodał.

Frédéric wszedł pierwszy przez okienko, niby wystarczyło je tylko popchnąć, ale było dwa metry nad ziemią. Louis zrobił z rąk siodełko i podсадził Adèle która, żeby się popisać, zeskoczyła na dwie nogi do wilgotnego garażu. Przyjechali nad morze, żeby wylądować w zamkniętym garażu bez światła, na stęchłych ręcznikach rozłożonych na betonie. Ale był alkohol, skręty, a nawet gitara. Małym żołądkom, wątlým piersiom ten sprzęt musiał zastąpić morze.

Adèle piła, żeby dodać sobie odwagi. Nadszedł ten moment. Nie wywinie się. Zbyt mało było okazji, zbyt mało odludnych miejsc, zbyt mało domów na plaży, by Louis się cofnął. A poza tym sama naopowiadała mu różnych rzeczy. Twierdziła, że się na tym zna, że się nie boi. Że miała już innych chłopców. Siedząc na lodowatej ziemi, trochę pijana, zastanawiała się, czy on się zorientuje. Czy tego rodzaju kłamstwa wychodzą na jaw czy też można udawać.

Atmosfera się zagęściła. Jakby wszystko poszarzało. Tęsknota za dzieciństwem ścisła ją w gardle. W ostatnim porywie niewinności o mało nie zrezygnowała. Popołudnie mijało szybciej, niż się spodziewali, i w końcu pozostali chłopcy znaleźli jakiś pretekst, żeby opuścić garaż. Słyszała ich, a dochodzący

z zewnątrz odgłos przypominał szurze drapanie. Louis rozebrał ją, położył się na plecach i posadził ją na sobie.

Nie tak to sobie wyobrażała. Ta niezdarność, pracowite gesty, groteskowe ruchy. Kłopoty, by w nią wejść. Nie wyglądał na szczególnie szczęśliwego, tylko na wściekłego, robił to mechanicznie. Jakby chciał gdzieś dojść, a ona nie wiedziała gdzie. Chwycił jej biodra i zaczął poruszać nimi tam i z powrotem. Uważał, że jest niezgrabna, niemrawa. Powiedziała: „Chyba za dużo wypaliłam”. Położył ją na boku, ale było jeszcze gorzej. Podkurczył jej nogi i chwycił niecierpliwymi dłońmi swój członek, by w nią wejść. Nie wiedziała, czy powinna się ruszać czy nic nie robić, milczeć czy wydawać ciche krzyki.

Wrócili do domu. W autobusie Louis usiadł koło niej. Objął ją ramieniem. Więc na tym polega bycie jego żoną? – zastanawiała się Adèle. Czowała się jednocześnie brudna i dumna, upokorzona i zwycięska. Dyskretnie wróciła do domu. Simone oglądała telewizję, a Adèle pobiegła do łazienki.

– Kąpiel o tej porze? Za kogo ty się masz? Za wschodnią księżniczkę? – wrzasnęła jej matka.

Adèle położyła się we wrzącej kąpieli, zanurzyła palec w pochwie w nadziei, że coś z niej wyjmie. Jakiś dowód, znak. Jej pochwa była pusta. Żałowała, że nie mieli łóżka. Że w tym małym garażu nie było więcej światła. Nie wiedziała nawet, czy krwawiła.

Sześć euro dziewięćdziesiąt. Codziennie odlicza sześć euro dziewięćdziesiąt w drobnych i kupuje test ciążowy. To stało się jej obsesją. Każdego ranka zaraz po przebudzeniu idzie do łazienki, grzebie na dnie kosmetyczki, w której schowała różowo-białe opakowanie, i sika na jęczyzek. Czeką pięć minut. Pięć minut prawdziwego, a zarazem całkowicie irracjonalnego lęku. Wynik testu jest negatywny. Przez kilka godzin czuje ulgę, ale tego samego wieczoru po sprawdzeniu, że nadal nie ma okresu, znowu idzie do apteki i kupuje kolejny test. Może tego właśnie boi się najbardziej. Że zajdzie w ciążę z innym mężczyzną. Że nie będzie mogła wytłumaczyć tego Richardowi albo co gorsza, że będzie musiała kochać się z mężem i udawać, że to jego dziecko. A potem dostaje okres, któremu towarzyszy odgłos rozbijanych jajek. Jej brzuch robi się ciężki i twardy, Adèle dochodzi do tego, że lubi skurcze, które przez cały wieczór trzymają ją w łóżku skuloną, z kolanami przy piersiach.

Kiedyś co tydzień robiła sobie test na AIDS. Gdy zbliżał się termin odbioru wyniku, paraliżował ją lęk. Rano paliła skręty, nic nie jadła, mimo że umierała z głodu, a potem wlekła się nieuczesana, w płaszczu narzuconym na piżamę, korytarzami szpitala Salpêtrière, żeby dostać żółty kartonik, na którym było napisane: „Negatywny”.

Adèle boi się śmierci. Dojmujący strach chwyta ją za gardło i nie pozwala jej rozsądnie myśleć. Zaczyna wówczas macać sobie brzuch, piersi, kark, znajduje gruczoły, które jej zdaniem zwiastują błyskawicznie postępującego i potwornie bolesnego raka. Przysięga sobie, że rzuci palenie. Wytrzymuje godzinę, jedno popołudnie, jeden dzień. Wyrzuca wszystkie papierosy, kupuje paczki gum do żucia. Godzinami biega wokół rotundy w parku Monceau. Potem myśli sobie, że nie warto żyć, odczuwając takie pragnienie, tak oczywiste, tak fundamentalne pragnienie. Że trzeba być szalonym lub całkiem nienormalnym, by narzucić sobie ten brak, by patrzeć na własne cierpienie w nadziei, że potrwa to jak najdłużej. Otwiera wszystkie szuflady, wywraca na drugą stronę kieszenie płaszczy. Wytrzępuje torebki, a gdy nie ma szczęścia i nie znajduje zapomnianej paczki, podnosi z balkonu niedopałek z czarnym filtrem, odcina koniec i ssie go łapczywie.

Obsesje ją zżerają. Nie ma na to rady. Ponieważ jej życie wymaga kłamstw, wiąże się z męczącą organizacją, która całkowicie ją pochłania. Dręczy. Zorganizować lipny wyjazd, wymyślić pretekst, wynająć pokój w hotelu. Znaleźć odpowiedni hotel. Zadzwoić po raz dziesiąty na recepcję, by usłyszeć potwierdzenie: „Tak, jest wanna. Nie, pokój nie jest głośny, proszę się nie martwić”. Kłamać, ale nie za bardzo się usprawiedliwiać. Z usprawiedliwień rodzą się podejrzenia.

Wybrać strój na randkę, myśleć o tym bez przerwy, otworzyć szafę w trakcie posiłku, Richardowi, który pyta: „Co ty robisz?” odpowiedzieć: „Och,

przepraszam, chodzi mi o sukienkę, nie wiem, gdzie jest”.

Liczyć pieniądze, po dwadzieścia razy. Wyjąć gotówkę, żeby nie został żaden ślad. Zrobić debet, by kupić wytworną bieliznę, jeździć taksówkami i pić oszałamiająco drogie koktajle w hotelowych barach.

Być piękną, być gotową. Nieuchronnie mylić priorytety.

Opuścić wizytę u pediatry z powodu zbyt długiego pocałunku. Za bardzo się wstydzić, by znowu iść do tego pediatry, mimo że jest bardzo kompetentny. Być zbyt leniwą, aby poszukać nowego pediatry. Myśleć sobie, że Lucien ma ojca lekarza, więc właściwie nie potrzebuje pediatry.

Kupiła telefon z klapką, którego nigdy nie wyjmuje z torebki, a Richard nie wie, że go ma. Sprawiała sobie drugi komputer, który ukrywa pod łóżkiem, po swojej stronie, koło okna. Nie zachowuje żadnych śladów, żadnych rachunków, żadnych dowodów. Wystrzega się mężczyzn żonatych, a także sentymentalnych, histerycznych, starych kawalerów, młodych romantyków, kochanków w sieci, przyjaciół przyjaciół.

O szesnastej dzwoni Richard. Przeprasza, ale ma dyżur. To będzie druga noc z rzędu i powinien był ją uprzedzić. Ale nie mógł odmówić, ma dług wdzięczności wobec kolegi.

– Wobec Xaviera. Pamiętasz go?

– A, tak. To ten, u którego byliśmy na kolacji. Nie mogę z tobą długo rozmawiać, czekam na małego pod przedszkolem. W takim razie pewnie pójdę do kina. Zresztą poprosiłam już Marię, żeby popilnowała Luciena.

– Tak, świetnie. Idź do kina, opowiesz mi.

Na szczęście nigdy jej nie prosi, żeby mu opowiedziała.

Tego wieczoru Adèle spotyka się z Xavierem. W dniu, w którym wrócili do Paryża, zamknęła się w łazience, żeby wysłać mu esemesa. „Jestem”. Umówili się właśnie na ten wieczór. Adèle kupiła sobie bardzo skromną białą sukienkę i parę pończoch w czarne groszki. Włożyła buty na płaskim obcasie. Xavier jest niski.

Pod przedszkolem Adèle patrzy na matki, które śmieją się, stojąc w grupie. Trzymają dzieci za ramiona, obiecują im, że po drodze wstąpią do piekarni, a potem pójdą na karuzelę. Lucien wychodzi, ciągnąc po ziemi płaszcz.

– Ubierz się, Lucien. Jest zimno, chodź, zapnę ci płaszczyk. – Adèle kuca przed synem, który popycha ją tak mocno, że traci równowagę.

– Nie chcę płaszczyka!

– Lucien, nie mam ochoty się z tobą bić. Nie teraz. Nie na ulicy. Wkładaj płaszcz. – Wsuwa rękę pod sweter syna i mocno szczypie go w plecy. Czuje, jak zgniata palcami miękkie ciało. – Wkładaj płaszcz, Lucien. Nie dyskutuj.

Kiedy idzie ulicą do domu, trzymając syna za rękę, ma poczucie winy. Czuje ucisk w żołądku. Ciągnie chłopca, który zatrzymuje się przed każdym samochodem, komentując jego kształt i kolor. Powtarza: „Pospiesz się” i wlecze dziecko, które stawia opór i nie chce iść do przodu. Wszyscy na nią patrzą.

Chciałaby umieć się nie spieszyć. Być cierpliwą, korzystać z każdej chwili spędzanej z synkiem. Ale dziś marzy tylko o jednym: by jak najszybciej się go pozbyć. To nie potrwa długo, za dwie godziny będzie wolna, on będzie już po kąpieli i po kolacji, zdążą się już pobić, skrzyczy go. Zjawi się Maria, Lucien się rozpłacze.

Wychodzi z mieszkania. Zatrzymuje się przed kinem, kupuje bilet i chowa go do kieszeni płaszcza. Przywołuje taksówkę.

Adèle siedzi w ciemności w kamienicy przy rue du Cardinal-Lemoine. Usadowiła się na stopniu między pierwszym a drugim piętrem. Nikogo nie spotkała. Czeka.

Powinien już wkrótce się zjawić.

Boi się. Mógłby wejść ktoś inny, ktoś, kogo nie zna i kto chciałby ją skrzywdzić. Zmusza się, by nie patrzeć na zegarek. Nie wyjmuje komórki z kieszeni. Nic zresztą nigdy nie dzieje się dość szybko. Przechyliła się do tyłu, wkłada torebkę pod głowę i podnosi beżową spódnicę sięgającą do kolan. To cienka spódnica, zbyt cienka na tę porę roku. Ale gdy Adèle kręci się w kółko, unosi się jak spódnica małej dziewczynki. Końcami paznokci pięści sobie udo. Wolno przesuwa dłoń do góry, odsuwa majtki i kładzie rękę. Stanowczo. Czuje, jak nabrzmiewają jej wargi i pod opuszki palców napływa krew. Zaciska srom w pięści, mocno zamyka dłoń. Drapie się od odbytu po łechtaczkę. Odwraca twarz do ściany, podkurcza nogi i ślini palce. Kiedyś mężczyzna plunął na jej wargi sromowe. Spodobało jej się to.

Palec wskazujący i środkowy. Nic więcej. Energiczny ciepły ruch, jak taniec. Rytmiczna pieszczota, całkiem naturalna i nieskończenie poniżająca. Nie udaje jej się. Przerywa, po czym zaczyna od nowa. Porusza głową jak koń, który chce odgonić muchy drażniące mu nozdrza. Trzeba być zwierzęciem, żeby coś podobnego się udało. Może gdy będzie krzyczeć, gdy zacznie jęczeć, wyraźniej poczuje nadchodzący skurcz, wyzwolenie, ból, złość. Mruczy cicho „ach”. Nie z ust, ale z brzucha powinien wydobywać się ten dźwięk. Nie, trzeba być zwierzęciem, żeby stracić nad sobą wszelką kontrolę. Trzeba być pozbawionym wszelkiej godności, myśli Adèle w momencie, gdy otwierają się drzwi kamienicy. Ktoś wezwał windę. Adèle się nie rusza. Szkoda, że nie poszedł schodami.

Xavier wychodzi z windy, wyjmuje z kieszeni pęk kluczy. Kiedy otwiera drzwi, Adèle, która zdjęła buty, chwyta go w tali. Mężczyzna wzdryga się i wydaje okrzyk.

– To ty? Przestraszyłaś mnie. To trochę dziwny wstęp, nie uważasz?

Adèle wzrusza ramionami i wchodzi do kawalerki.

Xavier dużo mówi. Adèle ma nadzieję, że wkrótce otworzy butelkę wina, którą trzyma w ręce już od dobrego kwadransa. Wstaje i podaje mu korkociąg.

Ten moment lubi najbardziej.

Moment, który poprzedza pierwszy pocałunek, nagość, intymne pieścizoty. Moment niepewności, gdy wszystko jest jeszcze możliwe, a ona jest panią magii. Pije łąpczywie łyk wina. Kropla spływa jej po wardze, wzdłuż podbródka i rozpryskuje się na kołnierzyku białej sukienki, zanim zdąży ją złapać. To szczegół historii i to ona ją pisze. Xavier jest rozgorączkowany, nieśmiały. Nie jest niecierpliw, Adèle cieszy się, że usiadł z dala od niej, na tym niewygodnym

krześle. Ona usadowiła się na kanapie z podwiniętymi nogami. Wpatruje się w Xaviera swoim lepkiem i nieprzeniknionym bagiennym wzrokiem.

Kiedy Xavier przybliży usta, przez brzuch Adèle przebiega fala prądu. Wyładowanie dociera do jej warg sromowych, sprawia, że eksplodują, mięsiste i soczyste, jak owoc obierany ze skórki. Usta mężczyzny mają smak wina i cygaretek. Smak lasu i rosyjskiej wsi. Pragnie go i to prawie cud, tak kogoś pragnąć. Chce go, chce jego, jego żony i tej historii, i tych kłamstw, i przyszłych kłamstw, i tajemnic, i łez, i nawet nieuniknionego rozstania. Ześlizguje się z niej sukienka. Długie kościste dłonie chirurga ledwie muskają jej skórę. Jego gesty są pewne, zręczne, wspaniałe. Wydaje się zdystansowany, a jednocześnie pełen pasji, nieopanowany. Zdecydowanie ma wyczucie dramaturgii, cieszy się obecnością Adèle. Jest teraz tak blisko, że kręci jej się w głowie. Jego oddech nie pozwala jej myśleć. Czuje się słaba, pusta, zdana na jego łaskę.

===YIZgVGxfZ1N8TXhKeEp+S35PeFcaewllAG4PL20YcxrGHMS

Odprowadza ją na postój taksówek, przyciska wargi do jej szyi. Adèle szybko wsiada do samochodu, jej ciało jest jeszcze pełne miłości, włosy splecione. Skóra, przepojona zapachami, pieszczotami i śliną, nabrała nowego odcienia. Każdy por ją zdradza. Ma mokry wzrok. Przypomina obojętnego sprytnego kota. Ściąga wargi sromowe i całą przebiega ją dreszcz, jakby ekstaza jeszcze nie do końca się wypaliła i jej ciało zachowało tak żywe wspomnienia, że w każdej chwili może je przywołać i znowu poczuć tę rozkosz.

Paryż jest pomarańczowy i pusty. Lodowaty wiatr wymiółł mosty, uwolnił miasto od pieszych, pozostawił bruk samemu sobie. Opatulona grubym płaszczem mgły stolica jest dla Adèle idealną przestrzenią do marzeń. Czuje się w tym otoczeniu niemal intruzem, patrzy przez szybę, jakby przykładała oko do dziurki od klucza. Miasto wydaje się nieskończone, czuje się w nim anonimowo. Nie chce jej się wierzyć, że jest z kimkolwiek związana. Że ktoś na nią czeka. Że może na nią liczyć.

Wraca do domu, płaci Marii, która jak zawsze czuje się w obowiązku powiedzieć:

– Mały tęsknił za panią wieczorem. Długo nie mógł zasnąć.

Adèle się rozbiera, zanurza nos w brudnych ubraniach, zwija je w kłębek i chowa w szafie. Jutro będzie w nich szukać zapachu Xaviera.

Leży w łóżku, gdy dzwoni telefon.

– Pani Robinson? Jest pani żoną doktora Richarda Robinsona? Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze, ale przede wszystkim proszę nie wpadać w panikę, pani mąż miał przed godziną wypadek na skuterze na boulevard Henri IV. Jest przytomny, jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, ale ma poważny uraz nóg. Przywieziono go tutaj, do szpitala Salpêtrière, właśnie go badamy. Na razie nie mogę powiedzieć pani nic więcej, ale oczywiście może go pani odwiedzić, kiedy tylko pani sobie życzy. Bardzo przyda mu się pani wsparcie.

Adèle jest śpiąca. Nie do końca rozumie. Nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Mogłaby się trochę przespać, powiedzieć, że nie usłyszała komórki. Ale jest za późno. Zmarnowana noc. Wchodzi do pokoju Luciena.

– Kochanie, mój skarbie, musimy iść do samochodu.

Owija go kołdrą i bierze na ręce. Chłopiec nie budzi się, gdy wsiadają do taksówki. Po drodze dzwoni do Lauren i dziesięć razy trafia na grzeczny głos nagrany na poczcie głosowej. Zirytowana dzwoni raz za razem, coraz bardziej nerwowo.

Prosi taksówkarza, by zaczekał pod kamienicą Lauren.

– Zostawię małego i wrócę.

Kierowca z silnym chińskim akcentem żąda, by zostawiła mu coś w charakterze gwarancji.

– Niech pan się wypcha – odpowiada Adèle, rzucając mu dwadzieścia euro.

Wchodzi do kamienicy z Lucieniem śpiącym na jej ramieniu i dzwoni do drzwi Lauren.

– Dlaczego nie odbierałaś? Obraziłaś się?

– Ależ nie – odpowiada Lauren zasnętym głosem, ze zmiętą twarzą. Ma na sobie za małe kimono, które ledwie zakrywa jej pośladki. – Spałam i tyle. Co się dzieje?

– Myślałam, że się na mnie gniewasz. Z powodu tamtego wieczoru. Sądziłam, że już mnie nie lubisz, że masz mnie dość, że chcesz zachować dystans...

– Co ty opowiadasz? Adèle, co się dzieje?

– Richard miał wypadek na skuterze.

– O cholera.

– Wygląda, że to nic groźnego. Mają operować mu nogę, ale jest w porządku. Muszę jechać do szpitala, a nie mogę zabrać ze sobą Luciena. Nie mam kogo prosić o pomoc.

– Tak, tak, daj mi go. – Lauren wyciąga rękę. Adèle pochyla się do niej i ciało dziecka wolno prześlizguje się na pierś Lauren, która obejmuje rękami kołdrę. – Daj mi znać, jak się sprawy mają. I nie martw się o niego.

– Mówiłam ci, że to chyba nic groźnego.

– Miałam na myśli twojego syna – szepcze Lauren, zamykając drzwi.

Adèle dzwoni po taksówkę. Słyszy, że czas oczekiwania wynosi dziesięć minut. Zostaje w ciemnym holu, za przeszklonymi drzwiami. Bezpieczna. Boi się czekać o tej porze na ulicy, ktoś mógłby ją zaatakować, zgwałcić. Widzi nadjeżdżającą taksówkę, która mija budynek i zatrzymuje się dwieście metrów dalej, na rogu ulicy. Co za kretyn! Adèle otwiera drzwi i biegnie w kierunku samochodu.

Siada w poczekalni na szóstym piętrze. „Lekarz przyjdzie do pani, jak tylko skończy”. Adèle uśmiecha się nieśmiało. Kartkuje czasopismo, zakłada nogę na nogę, aż mrowią ją łydki. Jest tu już od godziny, patrzy na przejeżdżające wózki, słucha, jak młodzi lekarze żartują z pielęgniarkami. Dzwoniła do Odile, która postanowiła wsiąść jutro w pierwszy pociąg, żeby odwiedzić syna. „Ciężko ci będzie, Adèle. Zabiorę do siebie Luciena, będziesz miała spokój, żeby zająć się Richardem”.

Adèle się nie martwi, nie jest zaniepokojona. A przecież ten wypadek zdarzył się trochę z jej winy. Gdyby Xavier nie zamienił się dyżurami z Richardem, gdyby nie podsunęła mu tego śmiesznego pomysłu, gdyby nie chcieli się tak bardzo zobaczyć, jej mąż byłby w domu, cały i zdrowy. O tej porze spałaby spokojnie obok niego, nie musząc stawiać czoła wszystkim komplikacjom, które z pewnością wywoła ten wypadek.

Ale można go też uznać za zrządenie losu. Za znak, wyzwolenie. Przynajmniej przez kilka dni będzie miała dom tylko dla siebie. Lucien pojedzie do babci. Nikt nie będzie nadzorował jej wyjść i powrotów. Posuwa się nawet dalej i myśli, że mogło być jeszcze lepiej.

Richard mógł umrzeć.

A ona została wdową.

Wdowie wiele się wybacza. Smutek jest znakomitym usprawiedliwieniem. Mogłaby do końca życia popełniać błędy i mnożyć podboje, a mówiono by o niej: „Załamala się po śmierci męża. Nie potrafi się z tym pogodzić”. Nie, ten scenariusz jej nie odpowiada. W poczekalni, gdzie poproszono ją o wypełnienie dokumentów i kwestionariuszy, musi przyznać, że Richard jest jej niezbędnie potrzebny. Nie mogłaby bez niego żyć. Byłaby kompletnie bezradna, zmuszona stawiać czoło życiu, prawdziwemu, konkretnemu, straszemu życiu. Musiałaby się wszystkiego nauczyć od nowa, wszystko robić sama, a więc tracić nad papierami czas, który poświęca na miłość.

Nie, Richard nie może nigdy umrzeć. Nie przed nią.

– Pani Robinson? Nazywam się Kovac, jestem lekarzem. – Adèle niezgrabnie wstaje, trudno jej ustać, tak bardzo zdrętwiały jej nogi. – To ja przed chwilą z panią rozmawiałem. Właśnie dostałem zdjęcie i urazy są poważne. Na szczęście rany na prawej nodze są powierzchowne. Ale lewa noga jest w kilku miejscach złamana, doszło do pęknięcia powierzchni piszczelowej i zerwania więzadeł.

– Dobra. A konkretnie?

– Konkretnie w najbliższych godzinach trzeba go będzie operować. Potem czeka go gips i długa rehabilitacja.

– Długo tu zostanie?

– Tydzień, może dziesięć dni. Proszę się nie martwić, pani mąż wróci do domu. Przygotowujemy go do operacji. Poproszę pielęgniarkę, by panią zawołała, gdy mąż wróci na salę.

– Czekam tutaj.

Po godzinie zmienia miejsce. Nie chce siedzieć przed windami, które otwierają się na wszystkie nieszczęścia tego świata. Znajduje puste krzesło w głębi korytarza, niedaleko pokoju pielęgniarek. Patrzy, jak układają karty, przygotowują leki, krążą między salami. Słyszy, jak ich pantofle gładko ślizgają się po linoleum. Słucha ich rozmów. Salowa zrzuca szklankę z wózka, który za mocno popchnęła. Pacjentka z pokoju 6095 z uporem nie chce zażyć leków. Adèle jej nie widzi, ale domyśla się, że jest stara i że pielęgniarka, która się do niej zwraca, przywykła do jej kaprysów. Potem głosy milkną. Korytarz pogrąża się w mroku. Choroba ustępuje miejsca snowi.

Przed trzema godzinami Xavier kładł rękę na jej wargach sromowych.

Adèle wstaje. Bardzo boli ją szyja. Szuka toalety, gubi się w pustych korytarzach, wraca, kręci się w kółko. W końcu otwiera drzwi ze sklejki i wchodzi do nieremontowanej toalety. Zamek nie działa. Nie ma ciepłej wody, więc przemywa sobie twarz i włosy, drżąc z zimna. Płucze usta, żeby stawić czoło nadchodzącemu dniowi. W korytarzu słyszy swoje nazwisko. Tak, ktoś powiedział „Robinson”. Szukają jej. Nie, ktoś zwraca się do jej męża. Do Richarda leżącego na noszach. Jest tutaj, pod pokojem 6090, blady i spocony Richard w niebieskiej koszuli wygląda na chorego. Ma otwarte oczy, ale Adèle trudno uwierzyć, że się obudził. Patrzy pustym wzrokiem. Jedyne jego ręce wczepiają się w prześcieradło, żeby je podciągnąć, ręce broniące jego intymności, jedynie ręce dowodzą, że jest świadomy.

Pielęgniarka wprowadza nosze do sali. Zamyka drzwi przed Adèle, która czeka, by pozwolono jej wejść. Nie wie, co zrobić z rękami. Zastanawia się, co powiedzieć, szuka jakiegoś dodającego otuchy zdania, uspokajającego słowa.

– Może pani wejść.

Adèle siada po prawej stronie łóżka. Richard ledwie odwraca się do niej twarzą. Otwiera usta, do warg przykleiły mu się strużki gęstej śliny. Cuchnie. To zapach potu i strachu. Adèle kładzie głowę na poduszce i jednocześnie zasypiają. Czoło przy czole.

Wychodzi od Richarda o jedenastej. „Muszę iść po Luciena. Biedna Lauren na mnie czeka”. W windzie spotyka chirurga, który operował jej męża. Ma na sobie dżinsy i skórzaną kurtkę. Jest młody. Ledwie skończył staż, a może jeszcze jest stażystą. Wyobraża go sobie, jak otwiera ciała, przesuwa kości, piłuje je, odwraca, wyjmuje. Przygląda się jego rękom, długim palcom, które przez całą noc nurzały się we krwi i w śluzie.

Adèle spuszcza wzrok. Udaje, że go nie poznaje. Gdy wychodzi na ulicę, mimowolnie rusza za nim. Mężczyzna idzie szybko, ona przyspiesza kroku. Obserwuje go z przeciwległego chodnika. Lekarz wyciąga papierosa z kurtki, Adèle przechodzi na drugą stronę i staje przed nim.

– Ma pan ogień?

– A, tak, proszę poczekać. – Wzdryga się, macając kieszenie. – Pani jest żoną doktora Robinsona. Proszę się nie martwić. To paskudne złamanie, ale jest młody, szybko się pozbiera.

– Tak, tak, mówił mi pan przed chwilą, gdy przyszedł pan na salę. Nie martwię się.

Pociera kamień zapalniczki. Płomień gaśnie. Osłania ogień prawą ręką, ale znowu gasi go podmuch wiatru. Adèle wyrywa mu zapalniczkę.

– Wraca pan teraz do domu?

– No tak.

– Ktoś na pana czeka?

– Tak. A dlaczego właściwie pani pyta? Mogę pani w czymś pomóc?

– Nie chciałby się pan czegoś napić?

Lekarz wpatruje się w nią, po czym wybucha głośnym wesołym, dziecięcym śmiechem. Twarz Adèle się rozjaśnia. Uśmiecha się, jest piękna. Ten facet kocha życie. Ma zęby białego czarownika, zmysłowe spojrzenie.

– Czemu nie? Skoro pani proponuje...

Adèle codziennie odwiedza Richarda. Przed wejściem do pokoju wsuwa głowę w drzwi. Jeśli jej mąż nie śpi, posyła mu pełen zakłopotania i współczucia uśmiech. Przynosi czasopisma, czekoladki, ciepłą bagietkę lub owoce. Ale wydaje się, że nic mu nie sprawia przyjemności. Bagietka się zeschła. W pokoju unosi się zapach gnijących bananów.

Na nic nie ma ochoty. Nawet na rozmowę z nią, a ona siedzi na niebieskim niewygodnym taborecie i stara się ze wszystkich sił podtrzymać konwersację. Przegląda czasopisma, komentuje plotki, ale Richard ledwie odpowiada. W końcu Adèle milknie. Patrzy przez okno, na szpital wielki jak miasto, napowietrzne metro i dworzec Austerlitz.

Richard nie golił się od tygodnia, czarna nieregularna broda wyostrzyła mu rysy. Bardzo schudł. Wpatruje się w ścianę z nogą w gipsie, dobity perspektywą nadchodzących tygodni.

Za każdym razem Adèle wmawia sobie, że spędzi z nim popołudnie, poczeka na lekarza, by zadać mu pytania. Ale nikt nie przychodzi. Czas mija jeszcze wolniej, bo mają wrażenie, iż o nich zapomniano, jakby nikt się nimi nie zajmował, jakby ten pokój nie istniał i popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Po półgodzinie Adèle zawsze zaczyna się nudzić. Żegna się z nim, nie mogąc powstrzymać uczucia ulgi.

Nienawidzi tego szpitala. Korytarzy, gdzie chorzy kulejący, w gorsetach, w gipsie, pokiereszowani ćwiczą chodzenie. Poczekałni, gdzie nieświadomi pacjenci czekają na słowo objawione. Nocą we śnie słyszy krzyki sąsiadki Richarda, zgrzybiałej osiemdziesięciolatki, która złamała sobie kość udową i wrzeszczy: „Zostawcie mnie, błagam was, idźcie sobie”.

Któregoś popołudnia, gdy już zbiera się do wyjścia, do pokoju wkracza okrągłutka gadatliwa pielęgniarka.

– Ach, dobrze, że żona przyszła do pana w odwiedziny. Pomoże mi z toaletą. Przyda się dodatkowa para rąk.

Richard i Adèle patrzą na siebie niesłuchanie zażenowani całą sytuacją. Adèle podwija rękawy swetra i bierze rękawicę, którą podaje jej pielęgniarka.

– Będę go trzymać, a pani niech umyje mu plecy. O tak.

Adèle wolno przesuwając rękawicę po plecach Richarda, pod jego owłosionymi pachami, po ramionach. Zjeżdża aż do pośladków. Bardzo się stara i robi to tak delikatnie, jak tylko potrafi. Richard spuszcza głowę i Adèle wie, że płacze.

– Skończę sama, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu – mówi do pielęgniarki, która chce coś powiedzieć, ale potem zmienia zdanie, widząc, że Richard cicho łka.

Adèle siada na łóżku. Trzyma rękę Richarda w dłoni, pociera mu skórę, starannie myje długie palce. Nie wie, co powiedzieć. Nigdy nie musiała zajmować

się mężem i ta rola zbija ją z tropu i martwi. Chore czy zdrowe, ciało Richarda nie robi na niej wrażenia. Nie wzbudza w niej żadnych emocji.

Na szczęście czeka na nią Xavier.

– Widzę, jaka jesteś przejęta – szepcze nagle Richard. – Bardzo mi przykro, że jestem taki zamknięty, taki oschły dla ciebie. Wiem, że tobie też jest bardzo ciężko, mam o to do siebie pretensje. Widziałem własną śmierć, Adèle. Tak bardzo chciało mi się spać, że zamykały mi się powieki i straciłem kontrolę nad skuterem. To działo się bardzo wolno, wszystko widziałem, samochód nadjeżdżający z przeciwka, latarnię po mojej prawej stronie. Wpadłem w poślizg i sunąłem tak przez ileś metrów, wydawało mi się, że to się nigdy nie skończy. Pomyślałem, że to koniec, że umrę tu, przez jeden dyżur za dużo. To mi otwarło oczy. Dziś rano napisałem maila do ordynatora oddziału i złożyłem wypowiedzenie. Odchodzę ze szpitala, mam kompletnie dość. Złożyłem ofertę kupna domu i zamierzam podpisać umowę o przystąpieniu do spółki z kliniką w Lisieux. Musisz zawiadomić redakcję. Nie czekaj do ostatniej chwili, szkoda byłoby rozstawać się z nimi w złej atmosferze. Zaczniemy wszystko od nowa, kochanie. Może ostatecznie ten wypadek nie był czymś wyłącznie złym.

Podnosi na nią zaczerwienione oczy, uśmiecha się i Adèle widzi starego człowieka, z którym przyjdzie jej żyć do końca swoich dni. Jego poważną twarz, żółtą cerę, suche wargi, oto jej przeszłość.

– Zawołam pielęgniarkę, może skończyć sama. Najważniejsze, żebyś poczuł się lepiej. Nie myśl o tym wszystkim, odpoczywaj. Porozmawiamy jutro.

Z wściekłością wykręca rękawicę, kładzie ją na stoliku nocnym i wychodzi, machając mu na pożegnanie.

Budzi ją to nagle. Ledwie ma czas, by zdać sobie sprawę, że jest naga, jest jej zimno i zasnęła z nosem w pełnej popielniczce. Czuje wstrząsy w piersi, żołądek podchodzi jej do gardła. Próbuje zamknąć oczy, odwraca się, chciałaby pograć się we śnie, aby to się skończyło. Z zamkniętymi powiekami wtula się w łóżko, które się kołysze. Język jej się kurczy i Adèle wrzeszczy z bólu. Zielonkawce błyskawice przesywają jej mózg. Ma przyspieszony puls. Żołądek skręcają jej nudności. Szyja drży, brzuch się zapada. Jakby był wielką pustką, zanim wszystko wyrzuci z siebie. Próbuje podnieść nogi, by dotlenić mózg. Nie starcza jej na to siły. Ma tylko czas, by na czworaka dowlec się do toalety. Zanurza głowę w misce klozetowej i zaczyna wymiotować kwaśnym szarym płynem. Wstrząsa nią całą gwałtowna czkawka, wymiotuje ustami, nosem, czuje, że umiera. Myśli, że już po wszystkim, ale nie, zaczyna się od nowa. Z oburzeniem macha ręką, wije się jak wąż i pada wyczerpana.

Nie rusza się. Leżąc na płytkach, uspokaja oddech. Ma mokry kark, zaczyna marznąć i robi się jej trochę lepiej. Podciąga kolana do piersi. Płacze cicho. Łzy wykrzywają jej pozołkłą twarz, bruzdzą wysuszoną przez makijaż skórę. Kołysze się w przód i w tył, ciało zdradza ją, budzi jej wstręt. Przejeżdża językiem po zębach i wyczuwa kawałek jedzenia na podniebieniu.

Nie wie, ile czasu minęło. Nie wie, czy zasnęła. Czołga się po podłodze, by dojść pod prysznic. Podnosi się powoli, stopniowo. Boi się, że zemdleje, że roztrzaska sobie czaszkę o wannę, że znowu będzie wymiotować. Kuca, klęczy, wstaje. Ledwie trzyma się na nogach. Chciałaby wbić paznokcie w ściany, bierze głęboki oddech i próbuje iść prosto. Ma zatkaany nos pełen glutów. Boli ją. Gdy staje pod prysznicem, widzi krew spływającą po udach. Nie ma odwagi popatrzeć na swój srom, ale czuje, że jest żywym mięsem, podarty i opuchnięty jak obita twarz.

Niewiele pamięta. Jediną wskazówką jest jej ciało. Nie chciała spędzać wieczoru samotnie, to pamięta. Straszliwie przerażała ją myśl, że godziny będą mijały, a ona nie będzie wiedziała, co począc z tą nocą sama w mieszkaniu. Po godzinie Mehdi odpowiedział na mail, który wysłała mu na stronę. Zjawił się o dwudziestej pierwszej i zgodnie z planem przyprowadził kolegę, i przyniósł pięć gramów kokainy. Adèle zrobiła się na bóstwo. To, że się płaci, to nie powód, by się zaniedbywać. Usiedli w salonie. Mehdi natychmiast jej się spodobał. Krótka obcięte włosy, twarz przestępcy, ciemne dziąsła i zęby drapieznika. Nosił bransoletkę i obgryzał paznokcie. Był cudownie wulgarny. Kolega był dyskretnym blondynem. Młodym chudym chłopakiem o imieniu Antoine, któremu godzinę zabrało zdjęcie marynarki.

Wyglądali na trochę zaskoczonych wyglądem mieszkania, jego nowoczesnym wyrafinowanym wystrojem. Siedząc na kanapie, przypominali

dwójkę małych chłopców, trochę speszonych, że piją herbatę z dorosłymi. Adèle otworzyła butelkę szampana, a Mehdi, który natychmiast zaczął zwracać się do niej per ty, zapytał:

– A czym ty się zajmujesz?

– Jestem dziennikarką.

– Dziennikarką? O kurde, to super!

Wyjął woreczek z kieszeni, pomachał nim przed Adèle.

– A, tak, czekaj.

Odwróciła się i wyjęła z biblioteczki pudełko po płytce z filmem animowanym Luciena. Mehdi roześmiał się i ułożył sześć kresek na DVD.

– Częstuj się. Najwyższa jakość – nie przestawał powtarzać i miał rację.

Adèle już prawie nie czuła zębów. Szczypało ją w nosie, miała radosną nieodpartą ochotę, żeby pić. Złapała butelkę szampana, odchyliła głowę do tyłu i gdy płyn zaczął jej spływać po policzkach, szyi, przesiąkać ubrania, pomyślała sobie, że to znak. Antoine kucnął za nią. Zaczął jej rozpinąć bluzkę. Wiedzieli dokładnie, co robią, jakby to był balet z doskonałą choreografią. Mehdi lizał jej piersi, położył rękę między jej udami, podczas gdy Antoine trzymał ją za włosy.

Adèle ześlizguje się wzdłuż ściany. Kuca pod wrzącym strumieniem wody. Chce jej się sikać, ale dół jej brzucha jest twardy, jakby w nocy wyrosła tam kość. Kurczy stopy, zaciska szczękę i gdy wreszcie zainfekowany mocz zaczyna spływać jej po udzie, wrzeszczy z bólu. Jej srom jest już tylko kawałkiem rozbitego szkła, labiryntem rys i ran. Cienką ścianką lodu, pod którą unoszą się zamrożone trupy. Wzgórek łonowy, który starannie goli każdego ranka, jest fioletowy.

Sama chciała. Nie może mieć do niego pretensji. Sama poprosiła Mehdiego po godzinie igraszek, po godzinie jego w niej, Antoine'a w niej, gier, zamian, to ona nie wytrzymała. I powiedziała: „To nie wystarczy”, chciała poczuć, sądziła, że to zniesie. Podniósł nogę i pięć, może dziesięć razy szpiczastym kościstym kolanem walił ją w srom. Na początku uważał. Rzucił Antoine'owi zdziwione, lekko kpiące spojrzenie. Podniósł nogę i wrzucił ramionami. Nie rozumiał. A potem spodobało mu się, gdy widział, jak się zwija, gdy słyszał jej krzyki, które nie były już krzykami ludzkimi.

Potem... potem nic nie było już możliwe. Potem może zemdląca. Może jeszcze rozmawiali. W każdym razie obudziła się tu, naga, w pustym mieszkaniu. Wolno wychodzi spod prysznic, chwytając się każdego mebla, każdego załomu ściany. Łapie tylko ręcznik, owija się nim i siada, delikatnie, bardzo delikatnie na skraju łóżka. Przegląda się w dużym stojącym lustrze. Jest biała i stara. Najmniejszy ruch doprowadza ją do palpacji, nawet myślenie sprawia, że wirują ściany.

Powinna coś zjeść. Wypić coś zimnego i słodkiego. Wie o tym, pierwszy łyk będzie cudowny, zaspokoi pragnienie, a potem, gdy płyn znajdzie się w jej pustym

żołądka, poczuje intensywne mdłości, straszną migrenę. Będzie musiała wytrzymać. Znowu się położyć. Trochę pić, dużo spać.

Tyle że lodówka jest pusta. Odkąd Richard trafił do szpitala, Adèle nie robiła zakupów. W mieszkaniu jest brudno. W sypialni wszędzie leżą porozrzucone ubrania, majtki walają się po ziemi. Sukienka wisi smętnie na oparciu kanapy w salonie. W kuchni rośnie stos nieotwartych listów. W końcu je zgubi albo wyrzuci. Powie Richardowi, że nie było poczty. Adèle przez cały tydzień nie chodziła do pracy. Obiecała artykuł, którego nie jest w stanie napisać. Nie odpowiada Cyrilowi, który ją molestuje, a potem wysłała mu żalostnego esemesa w środku nocy, tłumacząc, że całe dnie spędza w szpitalu przy mężu. Że wróci do pracy w poniedziałek.

Śpi w ubraniu, je w łóżku. Ciągłe jej zimno. Na stoliku nocnym piętrzą się niedojedzone jogurty, łyżeczki i kawałki czerstwego pieczywa. Spotyka się z Xavierem, gdy tylko on może, w mieszkaniu przy rue du Cardinal-Lemoine. Gdy do niej dzwoni, Adèle wychodzi z łóżka, bierze długi gorący prysznic, rzuca na ziemię ubrania i przegrzebuje szafę. Ma debet, mimo to jeździ taksówkami. Codziennie musi nakładać grubszą warstwę makijażu, żeby ukryć wory pod oczami, ożywić matowy odcień cery.

Dzwoni jej telefon. Maca kołdrę, wolno podnosi poduszki. Słyszy go. Ale nie może znaleźć. Leżał u jej stóp. Patrzy na ekran. Sześć nieodebranych połączeń. Sześć telefonów od Richarda w kilkuminutowych odstępach. Sześć nerwowych telefonów, sześć wściekłych telefonów.

To 15 stycznia.

Richard dziś wychodzi ze szpitala, czeka na nią. Jest 15 stycznia, a ona o tym zapomniała. Ubiera się. Wkłada wygodne dzinsy i męski kaszmirowy sweter.

Siada.

Czesze się i maluje.

Siada.

Sprząta salon, zwija ubrania w kłębek, później z czołem zlanym zimnym potem opiera się o szafki w kuchni. Szuka torebki. Leży na ziemi wybebeszona, pusta.

Musi jechać po Richarda.

Latem rodzice Adèle wynajmowali małe mieszkanie w okolicy Le Touquet. Kader spędzał dni w barze z paczką wakacyjnych kolegów. Simone grała w brydża i opalała się na tarasie z aluminiową opaską na szyi.

Adèle lubiła włóczyć się samotnie po pustym mieszkaniu. Paliła na balkonie papierosy mentolowe. Tańczyła w salonie i grzebała w szufladach. Pewnego popołudnia znalazła wydanie *Niezdolnej lekkości bytu*, które musiało należeć do właścicieli. Jej rodzice nie czytali tego rodzaju książek. Jej rodzice w ogóle nie czytali książek. Przewracała kartki i przypadkowo trafiła na scenę, która wzruszyła ją do łez. Słowa dźwięczały jej w brzuchu, przy każdym zdaniu przebiegał ją prąd. Zaciskała szczęki, ścigała wargi sromowe. Po raz pierwszy w życiu miała ochotę się dotykać. Złapała brzeg majtek i podniosła go, aż materiał zaczął parzyć ją w srom.

Rozebrał ją prawie nieruchomą. Kiedy ją pocałował, jej wargi nie odpowiedziały na dotknięcie jego warg. Ale potem nagle poczuła wilgoć między nogami i przestraszyła się¹.

Odkładała książkę na miejsce, do komódki w salonie, i myślała o niej nocą. Próbowwała przypomnieć sobie dokładnie słowa, odnaleźć muzykę, a potem nie mogła już wytrzymać. Wstawała, by otworzyć szufladę, spojrzeć na żółtą okładkę i poczuć, jak pod jej lekką koszulą budzą się nieznane uczucia. Ledwie miała odwagę wziąć książkę do ręki. Nie zaznaczyła strony, nie pozostawiła żadnego śladu swojej bytności w środku tej historii. Ale za każdym razem udawało jej się odnaleźć rozdział, który tak ją wzruszał.

Czuła podniecenie, tym większe, że było sprzeczne z jej wolą. Dusza już, co prawda, cicho pogodziła się ze wszystkim, co się działo, ale wiedziała również, że jeśli podniecenie ma pozostać tak silne, zgoda nie śmie być wypowiedziana. Gdyby powiedziała głośno „tak”, gdyby chciała dobrowolnie wziąć udział w scenie miłosnej, podniecenie by opadło. Ponieważ duszę podniecało właśnie to, że ciało działa wbrew jej woli, że ją zdradza, a ona się tej zdradzie przygląda. Potem ściągnął z niej figi i stanęła całkiem naga.

Powtarzała te zdania jak mantrę. Zwijała je na języku. Wyścielała nimi dno czaszki. Bardzo szybko zrozumiała, że pożądanie nie ma znaczenia. Nie pragnęła mężczyzn, do których się zbliżała. Nie chodziło jej o ciało, ale o sytuację. O to, aby być wziętą. Obserwować maskę mężczyzny, który przeżywa rozkosz. Napęlić się. Smakować ślinę. Udawać epileptyczny orgazm, leniwą rozkosz, zwierzęcą przyjemność. Patrzeć, jak mężczyzna odchodzi z paznokciami pobrudzonymi krwią i spermą.

Erotyzm spowijał wszystko. Maskował płaskość, próżność rzeczy. Nadawał kształt popołudniom licealistki, podwieczorkom urodzinowym, a nawet spotkaniom rodzinnym, bo zawsze znajdzie się stary wujek, który będzie zerkał na twoje piersi.

To poszukiwanie znosiło wszelkie reguły, wszelkie kody. Czyniło niemożliwymi przyjaźnie, ambicje, rozkład zajęć.

Dla Adèle jej podboje nie są powodem ani do chwały, ani do wstydu. Nie prowadzi ksiąg, nie zapamiętuje nazwisk, a tym bardziej sytuacji. Bardzo szybko zapomina, i tym lepiej. Jak mogłaby zapamiętać tyle ciał, tyle zapachów? Jak mogłaby zachować w pamięci ciężar każdego leżącego na niej mężczyzny, szerokość bioder, rozmiar penisa? Nie pamięta nic konkretnego, ale mężczyźni są jedynymi punktami orientacyjnymi w jej życiu. Każdej porze roku, każdym urodzinom, każdemu wydarzeniu odpowiada kochanek o zamglonej twarzy. W jej amnezji unosi się uspokajające uczucie, iż istniała tysiąc razy dzięki pożądaniu innych. I jeśli po latach zdarza jej się spotkać mężczyznę, który nieco wzruszony wyznaje z powagą: „Długo nie mogłem cię zapomnieć”, czuje z tego powodu olbrzymią satysfakcję. Jakby to wszystko nie było na próżno. Jakby mimowolnie do tego wiecznego powtarzania wkradł się sens.

Niektórzy pozostali jej bliscy, poruszyli ją bardziej niż inni. Na przykład Adam, o którym lubi mówić, że jest jej przyjacielem. Mimo że poznała go na portalu randkowym, czuje się mu bliska. Czasami wpada na rue Bleue, nie zdejmując ubrań i wypala z nim skręta w łóżku, które zastępuje mu biuro i salon. Kładzie mu głowę na ramieniu i lubi to szczere koleżeństwo. Nigdy nie robił jej żadnych uwag, nie pytał o jej życie. Nie jest ani inteligentny, ani głęboki i to jej się podoba.

Do niektórych się przywiązała, z trudem się z nimi rozstawała. Gdy teraz o tym myśli, to przywiązanie wydaje się jej niejasne, nie rozumie go. A przecież w tamtym momencie zdawało się, że nic innego się nie liczy. Tak było z Vincentem, a przed nim z Olivierem, którego poznała, gdy przygotowywała reportaż w RPA. Czekala na telefon od nich, tak jak dziś czeka na wiadomości od Xaviera. Chciała, żeby dla niej płonęli, żeby kochali ją tak, by wszystko stracić, dla niej, która nigdy nic nie straciła.

Dziś mogłaby zejść ze sceny. Odpocząć. Zdać się na los i decyzje Richarda. Z pewnością powinna teraz przestać, zanim wszystko się zawali, zanim minie jej czas i opuszczą ją siły. Zanim stanie się godna pożalowania, straci magię i godność.

To prawda, że ten dom jest piękny.

Zwłaszcza mały ogródek, trzeba by w nim zasadzić lipę i postawić ławkę, która mogłaby trochę spróchnieć i pokryć się mchem. Z dala od Paryża, w małym prowincjonalnym domku wyrzekłaby się tego, co jej zdaniem określa ją naprawdę, swojej prawdziwej istoty. Tej, która dlatego, że nikt o niej nie wie, stanowi jej największe wyzwanie. Porzucając tę część siebie, będzie już tylko tym, co widzą. Płaszczyną bez głębi i bez drugiej strony. Ciałem bez cienia. Nie będzie już mogła powiedzieć: „Niech sobie myślą, co chcą. Zresztą oni nie wiedzą”.

Z ładnego domu, z cienia lipy nie będzie już mogła uciec. Dzień po dniu będzie się ze sobą zderzać. Robiąc zakupy na targu, pranie, pomagając Lucienowi odrabiać lekcje, będzie musiała znaleźć sobie powód, by żyć. Coś, co wykracza poza prozę codzienności, która już gdy była dzieckiem, dusiła ją i kazała sądzić, że życie rodzinne jest straszną karą. Rzygać jej się chciało od tych niekończących się dni, kiedy po prostu byli razem, karmili się nawzajem, patrzyli, jak śpią, kłócili się o wannę, szukali sobie zajęć. Mężczyźni wyciągnęli ją z dzieciństwa. Wyrwali ją z tego błotnistego wieku i zamieniła dziecięcą bierność na leniwe życie gejszy.

– Gdybyś miała prawo jazdy, mogłabyś sama pojechać po męża. Byłabyś może bardziej niezależna, co? – Lauren jest rozdrażniona.

Adèle opowiada jej w samochodzie o minionej nocy. Nie mówi wszystkiego. Waha się, ale w końcu wyznaje, że musi od niej pożyczyć pieniędzy.

– Wiedziałam, że Richard trzyma trochę kasy w domu, ale nie powinnam była jej wydawać, rozumiesz? Oddam ci ją bardzo szybko, obiecuję.

Lauren wzdycha i nerwowo bębni palcami w kierownicę.

– Dobrze, w porządku, dam ci ją.

Richard czeka w pokoju z torbą na kolanach. Niecierpliwi się. Lauren zajmuje się załatwianiem formalności, a Adèle, milcząca i zmęczona, po prostu podąża za nią szpitalnymi korytarzami. Trzyma w ręce bilet, który pobiera się przy wejściu do pokoju przyjęć i wypisów. Mówi:

– Teraz nasza kolej.

Ale nie odzywa się ani słowem do blondynki siedzącej za biurkiem.

Gdy wchodzi do mieszkania, Adèle spuszcza głowę. Mogła kupić kwiaty i postawić je na sekretarzyku. Włożyć naczynia do zmywarki. Kupić wino albo piwo. Tabliczkę tej czekolady, za którą Richard przepada. Mogła powiesić płaszcze, które poniewierają się na krzesłach w salonie, przetrzeć gąbką umywalkę w łazience. Przejąć się. Zrobić mu niespodziankę. Przygotować się.

– Dobrze, pójde po coś na obiad – proponuje Lauren.

– Nie zdążyłam zrobić zakupów. Bardzo źle się zorganizowałam, naprawdę. Pójde na zakupy, a ty utniesz sobie popołudniową drzemkę. Kupię wszystko, co będziesz chciał, na co tylko masz ochotę. Powiesz mi co, dobrze? – pyta Adèle.

– To nie ma żadnego znaczenia. Zresztą nie jestem głodny.

Adèle pomaga Richardowi położyć się na kanapie. Chwyta gips na wysokości łydki, delikatnie podnosi nogę, a potem opiera ją na poduszce. Na ziemi kładzie kule.

Mijają dni, a Richard się nie rusza.

Życie znowu toczy się swoim trybem. Lucien wraca do domu, a Adèle do biura. Chciałaby zatopić się w pracy, ale czuje, że inni trzymają ją na dystans. Cyril wita ją chłodno.

– Wiesz, że Ben Ali upadł, gdy bawiłaś się w pielęgniarkę? Zostawiałem ci wiadomości, nie wiem, czy je dostałaś, w końcu wysłaliśmy Bertranda.

Czuje się tym bardziej z dala od nich, że w redakcji panuje sentymentalna atmosfera. Mijają kolejne dni, a jej się wydaje, że koledzy nie odrywają wzroku od telewizora stojącego w środku open space’u. Dzień po dniu przed oczami przesuwiają się obrazy rzeszy ludzi na avenue Bourguiba. Młody hałaśliwy tłum świętuje zwycięstwo. Kobiety płaczą w ramionach żołnierzy.

Adèle odwraca wzrok od ekranu. Wszystko poznaje. Aleję, którą szła tyle razy. Wejście do hotelu Carlton, gdzie na ostatnim piętrze paliła papierosy na balkonie. Tramwaj, taksówki, kawiarnie, gdzie zgarniała mężczyźni pachnących tytoniem i kawą z mlekiem. Mogła wtedy jedynie słuchać melancholii narodu, obserwować apatyczny kraj Ben Alego. Pisała zawsze takie same artykuły, tak smutne, że chciało się umrzeć. Pełne rezygnacji.

Jej zdumieni koledzy podnoszą ręce do ust. Wstrzymują oddech. Teraz płonie plac Tahrir. „Wynoś się, wynoś”. Ludzie palą szmaciane kukły. Deklamują wiersze i mówią o rewolucji. Jedenastego lutego o siedemnastej trzy wiceprezydent Sulajman ogłasza dymisję Hosniego Mubaraka. Dziennikarze krzyczą, padają sobie w ramiona. Laurent obraca się do Adèle. Płacze.

– To niesamowite, nie? I pomyśleć, że mogłaś tam być... Naprawdę głupia sprawa z tym wypadkiem. Co za pech!

Adèle wzrusza ramionami. Wstaje i wkłada płaszcz.

– Nie zostaniesz dziś z nami? Będziemy wszystko oglądać live. Coś takiego zdarza się tylko raz w całej karierze!

– Nie, idę. Muszę wracać do domu.

Richard jej potrzebuje. Dzwonił po południu trzy razy. „Nie zapomnij o moich lekarstwach”. „Pamiętaj o workach na śmieci”. „Kiedy wrócisz?” Czekają na nią niecierpliwie. Nic nie może bez niej zrobić.

Rano Adèle go rozbiera. Zdejmuje mu slipy przez gips, a on wznosi oczy do nieba i szepcze modlitwę lub przekleństwo, różnie to bywa. Owija gips workiem na śmieci, który śmierdzi naftą, zalepia na udzie taśmą klejącą i pomaga Richardowi wejść pod prysznic. Mężczyzna siada na plastikowym krześle, a ona pomaga mu położyć nogę na taborecie, który specjalnie kupiła w Monoprix. Po dziesięciu minutach wrzeszczy: „Skończyłem!”, a ona podaje mu ręcznik. Odprowadza go do łóżka, na którym kładzie się zaspany. Adèle przecina taśmę klejącą, zdejmuje worek na śmieci i pomaga mu włożyć bokserki, spodnie, skarpetki. Przed wyjściem do pracy kładzie na niskim stoliku butelkę wody, chleb, tabletki przeciwbólne

i telefon.

W tygodniu jest tak zmęczona, że nieraz o dziesiątej zasypia w ubraniu. Udaje, że nie widzi pudeł gromadzących się w salonie i w holu. Zachowuje się tak, jakby nie zbliżała się data wyjazdu. Jakby nie słyszała, jak mąż ją pyta: „Rozmawiałaś z Cyrilem? Przypominam ci, że obowiązuje cię okres wypowiedzenia”.

W weekendy siedzą we trójkę sami w mieszkaniu. Adèle proponuje, by dla rozrywki zaprosili znajomych. Richard nie chce nikogo przyjmować. „Nie mam ochoty, by ktoś oglądał mnie w tym stanie”. Jest rozdrażniony, agresywny. On, zwykle taki umiarkowany, wpada we wściekłość. Adèle myśli sobie, że może wypadek wstrząsnął nim bardziej, niż jej się wydawało.

W którąś niedzielę zabiera Luciena do parku na wzgórzu Montmartre. Siadają na skraju dużej lodowatej piaskownicy. Marzną im ręce. Lucien bawi się, burząc babki z piasku, które sumiennie stawia jakiś blondynek. Matka dziecka z komórką przy uchu podchodzi do Luciena i nie kończąc rozmowy, popycha go do tyłu.

– No nie, zachowujesz się okropnie! Zostaw mojego syna w spokoju. I nie dotykaj jego zabawek.

Lucien kryje się w ramionach matki, nie spuszczać wzroku z blondynka, który płacze cały zasmarkany.

– Chodź, Lucien. Wracamy do domu.

Adèle wstaje, bierze na ręce syna, który płacze i nie chce iść do domu. Okrąża piaskownicę, czubkiem wysokiego buta burzy zamek blondynka i wykopuje jego plastikowe wiaderka na drugą stronę parku. Nie odwraca się, gdy matka histerycznie krzyczy:

– No co pani!

– Wracamy, Lucien. Jest zimno.

Gdy otwiera drzwi, mieszkanie tonie w ciszy. Richard zasnął na kanapie w salonie, a Adèle powoli rozbiera syna, kładąc palec na wargach. Wkłada go do łóżeczka. Zostawia na stoliku kartkę. „Poszłam na zakupy”.

Boulevard de Clichy. Przed wystawą sex-shopu starzec w brudnym płaszczu nieprzemakalnym pokazuje palcem czerwony winylowy strój pokojówki. Czarnoskóra sprzedawczyni z wielkim biustem kiwa głową i zachęca go, by wszedł. Adèle mija turystów, którzy parszczą śmiechem przed wystawami erotycznymi. Obserwuje stare małżeństwo z Niemiec, które wybiera DVD.

Przed peep-show spaceruje w deszczu gruba blondynka.

– Zapraszam na mały taniec. Nie rozczarujesz się!

– Przecież widzi pani, że jestem na spacerze z synem – odpowiada jej zirytowany trzydziestolatek.

– Nie ma sprawy. Możesz zostawić wózek w holu. Popilnuję go, jak będziesz w środku.

Na skwerze najemni bandyci czekają, by ktoś powierzył im jakieś zadanie, popijając piwo z puszki albo tanią wódkę. Słychać arabski, serbski, wołof, chiński. Małżeństwa spacerują z dziećmi pośród grup pijaków i z radością witają patrole policyjne jadące ścieżką rowerową.

Adèle idzie długim korytarzem wyłożonym różowym aksamitem, na ścianach wiszą zdjęcia obejmujących się kobiet z wystawionym językiem, pokazujących pośladki przechodniom. Mówi dzień dobry stróżowi przy wejściu. Zna ją. Kupiła od niego kilka razy haszysz i dała mu numer telefonu Richarda, gdy jego siostra miała raka żołądka. Od tamtej pory wpuszcza ją za darmo. Wie, że

Adèle tylko patrzy.

W sobotnie wieczory sala jest nieraz pełna z powodu wieczorów kawalerskich lub gdy zalani koledzy świętują podpisanie umowy. Tego popołudnia przed małą nędzną sceną siedzi tylko trzech klientów. Starszy bardzo chudy Murzyn. Facet około pięćdziesiątki, z pewnością z prowincji, patrzy na zegarek, by sprawdzić, czy nie spóźni się na pociąg. W głębi Arab, który gdy Adèle wchodzi, obrzuca ją pełnym niesmaku spojrzeniem.

Adèle podchodzi do czarnoskórego. Pochyla się nad nim. Spogląda na nią, błyskają białka jego żółtych szklistych oczu i nieśmiało się uśmiecha. Ma zepsute zęby. Ona stoi. Wpatruje się w jego kościste ręce, rozpięty rozporek, wilgotny pożyłkowany członek.

Słyszysz, jak tamten złorzeczy. Czuje, jak wzdycha za jej plecami.

– *Huszuma.*

– Co powiedziałaś?

Stary Arab nie podnosi głowy. Nadal patrzy ukradkiem na tancerkę, która liże sobie palce i jęcząc, kładzie je sobie na piersiach.

– *Huszuma.*

– Słyszę cię, wiesz? Rozumiem, co mówisz.

Nie reaguje.

Murzyn chwyta Adèle za ramię. Próbuje ją uspokoić.

– A ty mnie puść.

Stary wstaje. Patrzy ze złością. Jego obwisłe policzki pokrywa trzydniowy zarost. Przygląda się jej dłuższą chwilę. Widzi drogie buty, męską marynarkę, jasną skórę. Obrączkę.

– Fuj. – Spluwa.

I wychodzi.

Adèle stoi oszołomiona na ulicy. Drży z wściekłości. Zapadł już zmierzch, zakłada na uszy słuchawki. Wchodzi do supermarketu, błąka się między półkami z pustym koszykiem w dłoni. Sama myśl o jedzeniu budzi w niej niesmak. Bierze, co nawinie się jej pod rękę, i staje w kolejce. Nie zdejmuje słuchawek. Gdy zbliża się do kasy, pogłównia dźwięk. Patrzy na młodą kasjerkę, na jej wytarte mitenki, na paznokcie ze schodzącym lakierem. „Jeśli się do mnie odezwie, rozplączę się”. Ale kasjerka milczy przyzwyczajona do klientów, którzy nie mówią jej dzień dobry.

Tryby się zacięły. Dręczy ją bezustannie potworny strach. Jest przerażająco chuda, dosłownie skóra i kości. Wydaje się jej, że na ulicach roi się od jej kochanków. Ciągłe się gubi. Zapomina spojrzeć na jezdnię, przechodząc przez ulicę, i wzdryga się na dźwięk klaksonów. Któregoś ranka zdawało się jej, że widzi dawnego kochanka, gdy wychodziła z domu. Serce przestało jej bić, wzięła na ręce Luciena, by ukryć twarz. Ruszyła przed siebie, szybko i w złą stronę. Bez przerwy się oglądała, przekonana, że ktoś ją śledzi.

W domu boi się odgłosu dzwonka, nasłuchuje kroków na klatce. Sprawdza pocztę. Dopiero po tygodniu rozwiązała umowę na biały telefon, którego nie znalazła. Podjęła tę decyzję z trudem, stwierdzając ze zdziwieniem, że jest sentymentalna. Wyobraża już sobie, że ją szantażują, wyciągają na światło dzienne jej życie, w najdrobniejszych szczegółach. Nieruchomy powolny Richard jest łatwą zwierzyną łowną. Odnajdą go, powiedzą mu. Gdy Adèle wychodzi z mieszkania, za każdym razem czuje skurcz w żołądku. Wraca do domu w obawie, że czegoś zapomniała, że zostawiła na wierzchu jakiś dowód.

– Wszystko w porządku, niczego nie potrzebujesz?

Ubrała męża i syna w piżamy. Nakarmiła ich. Wypada na zewnątrz z poczuciem spełnionego obowiązku i potrzebą, by ktoś ją posiadał. Nie wie, dlaczego Xavierowi zależało, by poszli na kolację do restauracji. Wolałaby pojechać na rue du Cardinal-Lemoine, natychmiast się rozebrać, wykończyć go. Nie rozmawiać o niczym.

– Tajska czy rosyjska?

– Rosyjska, napijemy się wódki – odpowiada Adèle.

Xavier nie zarezerwował stolika, ale zna właściciela tej restauracji w VIII dzielnicy, miejsca spotkań biznesmenów i prostytutek, gwiazd filmowych i dziennikarzy na fali. Usadzono ich przy małym stoliku przy oknie i Xavier zamawia butelkę wódki. Po raz pierwszy idą razem na kolację. Adèle zawsze starała się unikać jedzenia w jego obecności. Z nim.

Nie otwiera karty i pozwala mu wybrać.

– Zdaję się na ciebie.

Ledwie skubnęła sałatki z raków i woli mrozić sobie palce, dotykając butelki wódki otoczonej blokiem lodu. Pali ją gardło, a alkohol chlupie w pustym żołądku.

– Proszę pozwolić, naleję pani.

Zmartwiony kelner podchodzi do ich stolika.

– Może w takim razie przysiądzie się pan do nas?

Adèle śmieje się, a Xavier spuszcza wzrok. Wprawia go w zakłopotanie.

Nie mają sobie wiele do powiedzenia. Adèle przygryza policzki i szuka tematu do rozmowy. Po raz pierwszy Xavier mówi o Sophie. Wymawia jej imię i imiona dzieci. Mówi, że mu wstyd, że nie wie, gdzie to wszystko ich doprowadzi. Że nie potrafi już kłamać, że wykańcza go wynajdywanie wymówek.

– Dlaczego o niej mówisz?

– Wolałabyś, żebym o tym myślał i nic nie mówił?

Xavier budzi w niej niesmak. Nudzi ją. Ich związek jest już martwy. To tylko kawałek wystrzępionej szmatki, za którą ciągną dalej jak dzieci. Wyслужиł się.

Włożyła bardzo obcisłe szare dzinsy i buty na wysokich obcasach, które ma na sobie po raz pierwszy. Do tego zbyt wydekoltowaną bluzkę. Jest wulgarna. Po wyjściu z restauracji ma trudności z chodzeniem. Zgina kolana jak nowo narodzona żyrafa. Ślizgają się jej podeszwy, a wódka sprawia, że chwieje się na obcasach. Mimo że mocno trzyma się ramienia Xaviera, nie trafia na krawężnik i upada na ziemię. Jakiś przechodzień rzuca się, by pomóc jej wstać. Xavier daje mu znak, by się cofnął. Zajmie się nią.

Uderzyła się, trochę jej wstyd, ale śmieje się, jest jak fontanna, z której tryskają strugi lodowatej wody. Wciąga Xaviera do sieni jakiejś kamienicy. Nie

słyszy, jak mówi: „Nie, przestań, chyba zwariowałaś”. Przywiera do niego, obsypuje jego twarz wilgotnymi rozpaczliwymi pocałunkami. On próbuje odsunąć dłoń, którą kładzie mu na rozporku. Próbuje przeszkodzić jej w zdjęciu mu spodni, ale ona już klęczy, a on stoi z błędnym wzrokiem, rozdarty między rozkoszą a strachem, że ktoś wejdzie. Ona wstaje, opiera się o ścianę i wyginając się, opuszcza zbyt obcisłe džinsy. Wchodzi w nią, w jej płynne ciało, które wspaniałomyślnie mu się oddaje. Ona patrzy na niego wilgotnym wzrokiem i udając wstyd, naśladowując uczucie, mówi:

– Kocham cię. Kocham cię, wiesz?

Chwyta jego twarz i pod palcami czuje, że on ustępuje. Że zdołała przewyciężyć jego skrupuły. Że jak szczur ogłupiony dźwiękiem fletu jest gotów iść za nią na koniec świata.

– Inne życie jest możliwe – szepcze Adèle. – Zabierz mnie.

Xavier się ubiera. Ma aksamitny wzrok, świeże policzki.

– Do piątku, kochanie.

W piątek powie mu, że to koniec. Ze wszystkim, z nim i z całą resztą. Znajdzie jakąś niepodważalną wymówkę, coś, z czym żadne z nich nie będzie mogło walczyć. Powie mu, że jest w ciąży, że jest chora, że Richard przyłapał ją na kłamstwie.

Powie mu, że zaczyna nowe życie.

– Dzień dobry, Richard.

– Sophie? Dzień dobry.

Na progu stoi żona Xaviera.

Jest mocno umalowana i starannie ubrana. Nerwowo ściska pasek torebki.

– Powinnam była zadzwonić, ale musiałabym wtedy wyjaśnić ci dlaczego, nie chciałam, żebyś musiał słuchać tego przez telefon. Mogę przyjść później, jeśli chcesz...

– Nie, nie, chodź, wejdź, usiądź.

Sophie wchodzi do mieszkania. Pomaga Richardowi z powrotem się położyć. Stawia kule przy ścianie i siada naprzeciw niego w niebieskim fotelu.

– Chodzi o Xaviera.

– Tak?

– I o Adèle.

– O Adèle?

– Wczoraj mieli do nas przyjść znajomi na kolację. Spóźniali się i chciałam sprawdzić esemesy, żeby zobaczyć, czy coś im nie wypadło. – Przetyka ślinę. – Mam taki sam telefon jak Xavier. Zostawił go na stole w holu i wzięłam go. Przez pomyłkę, nie zrobiłam tego celowo, zaręczam ci. Nigdy nie mogłabym... Krótko mówiąc, przeczytałam. Wiadomość od twojej żony. Bardzo jednoznaczna. W pierwszej chwili nic nie powiedziałam. Poczekalam na gości, podałam kolację. Spędziliśmy zresztą miły wieczór, sądzę, że nikt się niczego nie domyślił. Gdy wyszli, zaatakowałam Xaviera. Zaprzeczał przez dziesięć minut. Utrzymał, że napastuje go pacjentka, wariatka, której nazwiska nawet nie zna. A potem wszystko wyznał. Myślę, że mu wręcz ulżyło, nie byłam w stanie mu przerwać. Mówi, że nie mógł się powstrzymać, że to namiętność. Mówi, że jest w niej zakochany.

– Zakochany w Adèle? – Richard wybucha sardonicznym śmiechem.

– Nie wierzysz mi? Chcesz zobaczyć wiadomość? Mam ją, jeśli chcesz.

Richard powoli pochyla się nad telefonem, który pokazuje mu Sophie, i czyta wiadomość, sylabizując jak dziecko. „Tak bardzo chciałabym się stąd wyrwać. Duszę się bez ciebie. Nie mogę się doczekać środy”.

– Umówili się na środę. To on powiedział mi o Adèle. Od niego dowiedziałam się, że chodzi o nią. Gdybyś słyszał, jak on o niej mówi, to jest...

Sophie wybucha płaczem. Richard chciałby, żeby sobie poszła. Natychmiast. Przez nią nie jest w stanie się skupić. Nie jest w stanie czuć bólu.

– On wie, że tu jesteś?

– Och, nie, nic mu nie powiedziałam. Byłby wściekły. Sama też nie wiem, co tu robię. Wahałam się do ostatniej chwili, o mało nie zawróciłam. To takie śmieszne, takie upokarzające.

– Nic mu nie mów. Przede wszystkim nic nie mów. Proszę cię.

- Ale...
- Powiedz mu, że musi to załatwić, zerwać z nią. Ona nie może się dowiedzieć, że ja wiem. W żadnym razie.
- Zgoda.
- Obiecuj mi to.
- Obiecuję ci, Richardzie. Tak. Obiecuję.
- A teraz musisz już iść.
- Oczywiście. Och, Richardzie, co my zrobimy? Co się z nami stanie?
- „Z nami”? Nic się z nami nie stanie. Nigdy się już nie spotkamy, Sophie. –
Otwiera jej drzwi. – Wiesz, to Xavier zasługuje na współczucie. Po prostu mu wybacz. A zresztą rób, co chcesz, mnie to nie dotyczy.

Dla dziecka telefon z klapką jest bardzo intrygujący. Zapala się, gdy się go otwiera. Można go zamknąć i przytrzasnąć sobie palce. To Lucien znalazł biały telefon. Adèle wyszła kupić taboret, żeby Richard mógł brać prysznic. Zadzwoiła z Castoramy. „Nie mają taboretów, sprawdzę w Monoprix”. Lucien bawił się w salonie, z telefonem z klapką w ręce.

– Czyj to telefon, kochanie? Gdzie go znalazłeś?

– Gdzie? – powtarza dziecko.

Richard wyjmuje mu telefon z rąk.

– Halo? Halo? Dzwonimy do mamy?

Lucien się śmieje.

Richard ogląda telefon. Starość. Ktoś mógł go u nich przypadkowo zostawić. Jakiś znajomy, który do nich wpadł. Lauren, a nawet Maria, baby-sitterka. Otwiera go. Na wygaszaczu jest zdjęcie Luciena. Zdjęcie Luciena jako noworodka, śpiącego na kanapie, przykrytego sweterkiem Adèle. Richard zamierza go zamknąć.

Nigdy nie grzebał w rzeczach żony. Adèle opowiedziała mu, że gdy była nastolatką, Simone miała zwyczaj otwierać jej pocztę i czytać listy od jej chłopaków. Kiedy była w szkole, matka przeszukiwała szuflady w jej biurku i raz znalazła pod materacem żaloszny pamiętnik, który pisała Adèle. Podważyła nożem klódeczkę i odczytała go wieczorem przy kolacji. Śmiała się tak, że o mało nie wywichnęła sobie szczęki. Po policzkach spływały jej ciężkie łzy drwiny. „Czy to nie śmieszne? Kader, powiedz, czy to nie śmieszne?” Kader się nie odezwał. Ale też się nie śmiał.

W oczach Richarda ten epizod tłumaczył częściowo charakter Adèle. To, że wszystko chowa, jej obsesję na punkcie zamków. Jej paranoję. Myślał, że to dlatego śpi z torebką przy łóżku i z czarnym notesem pod poduszką.

Patrzy na telefon. Na zdjęciu Luciena wyświetla się komunikat „Nowa wiadomość”. Miga żółta koperta. Richard podnosi ramię, by Lucien nie złapał swojej zabawki.

– Chcę telefon – wrzeszczy Lucien. – Chcę halo!

Richard czyta wiadomość. Tę i następną. Wraca do kontaktów. Przejeżdża po oszałamiającej liście męskich imion.

Adèle niedługo wróci. Myśli wyłącznie o tym. Wróci, a on nie chce, żeby wiedziała.

– Lucien, gdzie znalazłeś telefon?

– Gdzie?

– Gdzie był telefon, kochanie?

– Gdzie? – powtarza chłopiec.

Richard chwyta go za ramiona i potrząsa nim, krzycząc:

– Gdzie on był, Lulu? Gdzie był ten telefon?

Dziecko przygląda się ojcu, wykrzywia usta i tłusciutkim paluszkim, ze spuszczoną głową, pokazuje kanapę.

– Tam. Pod.

– Pod spodem?

Lucien kiwa głową. Richard opiera się na rękach i pada na ziemię. Uderza gipsem o parkiet. Kładzie się, odwraca głowę i widzi pod kanapą koperty, różową skórzaną rękawiczkę i pomarańczowe pudełko.

Broszka.

Kulą przysuwa do siebie klejnot. Poci się. Czuje ból.

– Chodź, Lucien, pobawimy się. Widzisz, tatuś jest na podłodze, pobawimy się ciężarówką. Chcesz? Chcesz się ze mną pobawić?

Śpi z nią. Patrzy, jak je. Słucha szumu wody, gdy bierze prysznic. Dzwoni do niej do biura. Komentuje jej ubrania, jej zapach. Co wieczór pyta celowo irytującym głosem: „Z kim się spotykałaś? Co robiłaś? Ciekawe, dlaczego wracasz tak późno”. Nie zgodził się poczekać do weekendu z pakowaniem i wie, że ogarnia ją panika. Adèle boi się dzień po dniu, że mimo wszelkich środków ostrożności on trafi na jakiś dokument, dowód, błąd. Podpisał promesę sprzedaży domu, a Adèle zaparafowała dokumenty. Zatrudnił ekipę do przeprowadzki i zapłacił zaliczkę. Zapisał Luciena do przedszkola.

Nie wspomina o swoim odkryciu.

Wchodzi do sypialni, gdy Adèle się ubiera, i zauważa zadrapania na jej szyi. Siniak nad łokciem w kształcie kciuka, który ją złapał i nie chciał puścić. Stoi w drzwiach blady, z ręką zaciśniętą na kuli. Patrzy, jak ona chowa się za dużym szarym ręcznikiem, gdy ubiera majtki, jak mała dziewczynka.

W nocy, leżąc przy niej, myśli o kompromisach. O układach. O układzie rodziców, o którym nikt nigdy nie wspomina, ale wszyscy o nim wiedzą. O Henrim, który wynajął mieszkanie w mieście i spotykał się w nim w każdy piątek po południu z trzydziestoletnią kobietą. Odile to odkryła. Wyjaśnili to sobie w kuchni. Była to szczerza, niemal wzruszająca kłótnia, a Richard słyszał jej fragmenty z pokoju nastolatka. Dogadali się dla dobra dzieci, by zachować pozory. Henri w końcu porzucił garsonierę, a Odile, triumfująca i godna, przyjęła go z powrotem na łono rodziny.

Richard nic nie mówi. Nie ma komu się zwierzyć. Nie mógłby znieść niczyjego wzroku na swojej twarzy zdradzonego naiwnego męża. Nie ma ochoty słuchać żadnych rad. A zwłaszcza budzić litości.

Adèle podarła świat. Podpiłowała nóżki mebli, porysowała lustro. Zniszczyła smak życia. Wspomnienia, obietnice, wszystko to nie jest nic warte. Ich życie jest ułudą. Czuje do siebie, jeszcze bardziej niż do niej, głęboki niesmak. Widzi

wszystko nowym okiem, smutnym brudnym okiem. Może jeśli nic nie będzie mówił, jeszcze jakoś się to utrzyma? Jakie w sumie znaczenie mają fundamenty, które z takim wysiłkiem stawiał? Jakie znaczenie ma solidność życia, święta szczerłość i podła przejrzystość? Może jeśli będzie milczał, jakoś się to utrzyma. Wystarczyłoby pewnie zamknąć oczy. I zasnąć.

Ale nadchodzi środa i Richard nie może wytrzymać na miejscu. O siedemnastej dostaje wiadomość od Adèle. Píše, że zamykanie numeru się przedłuża i wróci późno. Odpisuje, nie zastanawiając się: „Musisz wrócić. Bardzo cierpię. Potrzebuję cię”. Nie odpowiada.

O dziewiętnastej otwiera drzwi mieszkania. Ma zaczerwienione oczy, unika Richarda wzrokiem i pyta go zirytowana:

– Co się dzieje? Bardzo cię boli?

– Tak.

– Wziąłeś lekarstwa, nie? Cóż mogę więcej zrobić?

– Nic. Zupełnie nic. Chciałem tylko, żebyś już była. Nie chciałem być sam.

Otwiera ramiona i daje jej znak, żeby usiadła obok niego na kanapie. Podchodzi sztywna i lodowata, a on ją ściska, omal jej nie dusząc. Czuje, że ona drży, że patrzy pustym wzrokiem, ale jej nie puszcza, kipi z nienawiści. Chcieliby być gdzie indziej niż w swoich objęciach. Jego niesmak miesza się z jej niesmakiem, a udawana czułość przeistacza się w nienawiść. Adèle próbuje się wyrwać, a Richard zacieśnia uścisk. Mówi jej na ucho:

– Nigdy nie nosisz broszki, Adèle.

– Jakiej broszki?

– Broszki, którą ci dałem. Nigdy jej nie przypięłaś.

– Od wypadku nie miałam właściwie okazji.

– Przypnij ją, Adèle. Miło mi będzie, jak będziesz ją nosić.

– Włożę ją następnym razem, gdy gdzieś pójdziemy, obiecuję. Albo nawet jutro do biura, jeśli chcesz. Pozwól mi wstać, Richard. Pójdę zrobić kolację.

– Nie, siedź tu. Zostań – rozkazuje. Chwyta ją za ramię, zaciska palce.

– To boli.

– Nie lubisz tego?

– Co ci odbiło?

– Xavier ci tak nie robi? Nie zabawiacie się w ten sposób?

– Ale co ty opowiadasz?

– Och, przestań już. Budzisz we mnie niesmak. Gdybym mógł, zabiłbym cię, Adèle. Udusiłbym cię na miejscu.

– Richard.

– Cicho bądź. Przede wszystkim milcz. Twój głos przyprawia mnie o mdłości. Twój zapach przyprawia mnie o mdłości. Jesteś zwierzęciem, potworem. Wiem wszystko. Wszystko przeczytałem. Te ohydne wiadomości.

Znalazłem maile, wszystko odtworzyłem. Wszystko układa mi się w głowie, nie ma jednego wspomnienia, które nie łączyłoby się z twoim kłamstwem.

– Richard.

– Przestań! Przestań powtarzać moje imię jak idiotka! – wrzeszczy. – Dlaczego, Adèle? Dlaczego? Nie masz żadnego szacunku dla mnie, dla naszego życia, dla naszego syna... – Richard zaczyna łkać. Kładzie drżące ręce na powiekach.

Adèle wstaje. Widok płaczącego męża paraliżuje ją.

– Nie wiem, czy jesteś w stanie to zrozumieć. Czy jesteś w stanie mi uwierzyć. To nie jest wymierzone w ciebie, Richard, nigdy nie było. Zapewniam cię. Nie mogę się powstrzymać. To silniejsze ode mnie.

– Silniejsze od ciebie. Czegóż ty mi jeszcze nie powiesz? Kto o tym wie?

– Nikt, zaręczam ci.

– Przestań kłamać! Nie sądzisz, że wyrządziłaś już wystarczająco szkód? Nie kłam.

– Lauren – szepcze. – Tylko Lauren.

– Nigdy ci już nie uwierzę. Nigdy. – Próbuje złapać kule, podnieść się, ale jest tak zdenerwowany, że noga ugina się pod nim i Richard bezsilnie opada na kanapę. – Wiesz, co budzi mój największy niesmak? To, że jestem od ciebie zależny, że nie mogę ci nawet powiedzieć, żebyś się wynosiła, nie mogę nawet wstać, żeby cię uderzyć, cisnąć ci twoje rzeczy w twarz, wyrzucić cię na zewnątrz jak sukę, którą jesteś. Płaczesz? Płacz sobie, już mnie to nie obchodzi. Nigdy nie znosiłem twoich łez, a teraz mam ochotę wydrapać ci oczy. Co ty ze mnie zrobiłaś? Co ta historia ze mnie zrobiła? Idiotę, rogacza, niedołęgę. Wiesz, co mnie najbardziej zraniło? Czarny notes. Tak, czarny notes w twoim biurku. Przeczytałem, co napisałaś o swojej nudzie, o gównianym życiu klasy średniej. Nie dość, że dajesz się rznąć całej armii, to w dodatku gardzisz tym wszystkim, co zbudowaliśmy. Co ja zbudowałem, pracując jak wół, żebyś miała wszystko, czego potrzebujesz. Żebyś o nic nie musiała się martwić. Myślisz, że ja nie marzę o jakimś lepszym życiu? Myślisz, że nie mam marzeń, nie mam ochoty uciec? Że nie jestem tak jak ty romantykiem, jak to określasz? Tak, płacz. Płacz, aż zdechniesz. Możesz sobie mówić, co chcesz, tłumaczyć się na wszelkie możliwe sposoby, ale jesteś dziwką, Adèle. Prawdziwą wywłoką.

Adèle ześlizguje się wzdłuż ściany. Łka.

– I coś ty myślała? Że ci się upiecze? Że nigdy się nie zorientuję? W końcu zawsze płaci się za własne kłamstwa, wiesz. I ty też zapłacisz. Zatrudnię najlepszego adwokata w Paryżu, stracisz wszystko. Nic ci nie zostanie. A jeśli myślisz, że dostaniesz opiekę nad Lucienem, to się grubo mylisz. Nie zobaczysz już więcej swojego syna, Adèle. Wierz mi, że potrafię go trzymać z dala od ciebie.

Kiedy mężczyzna się kocha, patrzy na swój penis. Opiera się na ramionach, pochyla głowę i obserwuje członek wchodzący w kobietę. Sprawdza, czy to działa. Przez kilka sekund podziwia ten ruch, może się cieszy tą tak prostą i tak skuteczną mechaniką. Adèle dobrze wie, że w tej autokontemplacji, w tym powrocie do siebie jest też rodzaj podniecenia. I że mężczyzna podziwia nie tylko swojego fiuta, ale także jej dziurkę.

Adèle często patrzyła przed siebie. Przyglądała się dziesiątkom sufitów, śledziła zawijasy stiuków, obserwowała kołysanie się żyrandoli. Leżąc na boku z nogami na ramionach mężczyzny, podnosiła wzrok. Oglądała rysy na łuszczącej się farbie, dostrzegała plamę z wody, raz liczyła plastikowe gwiazdy w salonie, który był także pokojem dzieciennym. Całymi godzinami wpatrywała się w pustkę sufitów. Nieraz jakiś cień czy odbłask neonu uwalniał jej wzrok, pozwalał na przerwę.

Od początku wakacji rozkłada materac z gąbki w alei wysadzonej lipami. Przygotowuje piknik, a potem urządza sobie z Lucienem drzemkę w cieniu drzew. Chłopiec kładzie się przy niej i zasypia, każąc jej obiecać, że nazajutrz po południu znowu będą spać pod gołym niebem. Z oczami pełnymi nieba, źrenicami zmaconymi lekkim ruchem liści, Adèle obiecuje.

- Christine? Christine, słyszy mnie pani? – wrzeszczy Richard.
- Sekretarka, blondynka z twarzą sowy albinosa, wchodzi do gabinetu.
- Przepraszam, panie doktorze, szukałam karty pani Vincelet.
- Czy mogłaby pani zatelefonować do mojej żony? Nie mogę się do niej dodzwonić.
- Mam zadzwonić do domu?
- Tak, bardzo proszę. I na komórkę też.
- Może gdzieś wyszła. Jest taka piękna pogoda...
- Proszę, niech pani do niej zadzwoni.

Gabinet Richarda znajduje się na pierwszym piętrze kliniki w samym centrum miasta. W ciągu kilku miesięcy doktor Robinson zdobył grono wiernych pacjentów, którzy cenią sobie jego oddanie i kompetencje. Przyjmuje trzy razy w tygodniu i operuje we czwartek i w piątek przed południem.

Jest jedenasta, a tego ranka Richard miał bardzo dużo pracy. Nie powiedział tego co prawda matce małego Manceau, ale objawy jej syna mocno go niepokoją. Ma w tych sprawach intuicję. A potem pan Gramont nie chciał wstać z fotela. Richard na próżno powtarzał, że nie jest dermatologiem, pacjent z uporem chciał mu pokazywać swoje pieprzyki, twierdząc autorytatywnie, że wszyscy lekarze to złodzieje, a on się nie da oszukać.

– Nie zgłasza się, panie doktorze. Zostawiłam wiadomość, poprosiłam, żeby do pana oddzwoniła.

- Jak to, nie odpowiada? Do cholery, to nie ma prawa się zdarzyć!
- Sowa wywraca okrągłymi oczami.
- Nie wiedziałam, nie powiedział mi pan...
- Przepraszam, Christine. Bardzo źle spałem. Pan Gramont wyprowadził mnie z równowagi. Sam nie wiem, co mówię. Proszę wpuścić kolejnego pacjenta, a ja pójdę umyć ręce.

Pochyliła się nad umywalką i zanurza ręce w zimnej wodzie. Od ich częstego mycia skórę ma wysuszoną i pokrytą małymi strupkami. Mydło się pieni, Richard nerwowo pociera dłonie.

Siada z rękami na oparciach fotela i wyprostowanymi nogami. Powoli zgina kolana, które ponad pół roku po wypadku dalej wydają mu się sztywne. Wie, że nadal trochę utyka, choć wszyscy mu mówią, że tego nie widać. Chodzi powoli, niespokojnie. Nocą śni mu się, że biega. Ma sny psa.

Ledwie słucha pacjentki, która usiadła naprzeciw niego. Zalękniona pięćdziesięcioletnia kobieta uczesana w kok maskujący łysinę. Prosi, by położyła się na stole do badań, i kładzie jej ręce na brzuchu. „Tu panią boli?” Nie zauważa, że jest rozczarowana, gdy mówi: „Wszystko w porządku, w każdym razie to nic poważnego”.

O piętnastej wychodzi z kliniki. Jedzie bardzo szybko krętą drogą. Przy wjeździe do domu samochód wpada w poślizg na żwirze. Musi spróbować jeszcze raz. Cofa, rozpedza się i przyspiesza, by wjechać do parku.

Adèle leży na trawie. Obok niej bawi się Lucien.

– Bez przerwy do ciebie dzwonię. Dlaczego nie odbierasz?

– Zasnęliśmy.

– Sądziłem, że coś ci się stało.

– Ależ nie.

Podaje jej rękę i pomaga wstać.

– Dziś przychodzą na kolację.

– Och, nie możesz tego odwołać? Zjedlibyśmy we trójkę, tak byłoby znacznie lepiej.

– Nie, nie możemy tego odwołać w ostatnim momencie. To by było niegrzeczne.

– W takim razie musisz mnie zawieźć na zakupy. Nie pójdę przecież na piechotę. To za daleko.

Wchodzi do domu. Richard słyszy, jak trzaska drzwiami.

Podchodzi do syna. Przejeżdża ręką po kręconych włosach, chwytając go w pól.

– Zostałeś dziś z mamą? Co robiliście, opowiedz.

Lucien próbuje wyrwać się z jego uścisku, nie odpowiada, ale Richard nalega. Patrzy czule na małego szpiega i znowu zadaje mu pytanie.

– Bawiliście się? Rysowaliście? Lucien, opowiedz mi, co robiliście.

Adèle ustawiła stół w ogrodzie, w cieniu mirabelki. Zmieniała dwa razy obrus, na środku umieściła bukiet kwiatów z ogrodu. Okna w kuchni są otwarte, ale jest bardzo gorąco. Lucien siedzi na podłodze, u stóp matki. Dała mu małą deseczkę i plastikowy nóż i chłopiec kroi gotowaną cukinię na kawałeczki.

– Tak się ubierasz?

Adèle ma na sobie niebieską sukienkę w kwiatki, której cienkie ramiączka krzyżują się na plecach, odsłaniając jej ramiona i chude ręce.

– Pamiętałeś o papierosach dla mnie?

Richard wyjmuje paczkę z kieszeni. Otwiera ją i daje jednego papierosa Adèle.

– Będę je trzymał tutaj – mówi, klepiąc się po kieszeni spodni. – Dzięki temu będziesz mniej palić.

– Dziękuję.

Siadają na ławce, którą Richard kazał ustawić przy zewnętrznej ścianie kuchni. Adèle w milczeniu pali papierosa. Lucien pieczołowicie zakopuje gotowaną cukinię w ziemi, żeby wyrosła. Obserwują dom Verdonów.

Wczesną wiosną po ich stronie wzgórze pojawiła się para. Najpierw kilkakrotnie przyjeżdżał mężczyzna, żeby zobaczyć dom. Z okna małego gabinetu Adèle widziała, jak rozmawia z ogrodnikiem Émile'em, z panem Godetem z agencji nieruchomości, a potem z fachowcami, którzy mieli robić remont. Mężczyzna, koło pięćdziesiątki, był bardzo opalony i atletycznie zbudowany. Miał na sobie sweter w żywych kolorach i nowe gumki z cholewami z pewnością kupione na tę okazję.

W sobotę na stromej dróżce, z której dotychczas korzystali wyłącznie Robinsonowie, zatrzymała się ciężarówka. Adèle i Richard obserwowali, siedząc na ławce, jak para wprowadza się do domu.

– To paryżanie. Przyjeżdżają tylko na weekendy – oznajmił Richard.

W któreś niedzielne popołudnie postanowił zawrzeć z nimi znajomość. Wziął za rękę Luciena, przeszedł przez ulicę i przedstawił się. Zaoferował im pomoc. Powiedział, że może od czasu do czasu rzucić okiem na dom. Zadzwoić do nich, gdyby był jakiś problem. A wychodząc, zaprosił ich na kolację.

– Proszę mnie uprzedzić, gdy będą państwo planowali przyjazd na weekend, będzie nam z żoną miło, jeśli zechcą nas państwo odwiedzić.

– Czym się zajmują?

– On jest chyba optykiem.

Verdonowie przechodzą przez ulicę. Żona trzyma w ręce butelkę szampana. Richard wstaje, obejmuje w pasie Adèle i wita się z nimi. Lucien wczepił się w nogę matki. Przywiera nosem do jej uda.

– Witaj, mały. – Kobieta pochyla się do dziecka. – Nie przywitasz się ze

mną? Mam na imię Isabelle. A tobie jak na imię?

– Jest nieśmiały – przeprasza Adèle.

– Och, niech się pani nie przejmuj. Sama mam trójkę, wiem, co to znaczy. Niech pani korzysta, póki czas! Moje dzieci odmawiają wyjazdu z Paryża. Spędzanie weekendów ze starymi rodzicami już ich nie interesuje.

Adèle idzie do kuchni. Isabelle rusza za nią, ale Richard ją zatrzymuje.

– Niech pani usiądzie, żona nie lubi, jak się jej przeszkadza w kuchni.

Adèle słyszy, że rozmawiają o Paryżu, o sklepie Nicolasa Verдона w XVII dzielnicy i o pracy Isabelle w agencji reklamowej. Wydaje się starsza od niego. Głośno mówi, dużo się śmieje. Mimo że są na wsi i jest środek lata, ma na sobie elegancką bluzkę z czarnego jedwabiu. Założyła nawet kolczyki. Gdy Richard chce jej nalać różowego wina, delikatnie kładzie rękę na kieliszku.

– Ja dziękuję. Mogłoby mi zasumieć w głowie.

Adèle wraca do nich, wlekąc za sobą Luciena.

– Richard opowiadał nam, że wyjechali państwo z Paryża i osiedli na wsi – mówi z entuzjazmem Nicholas. – Dobrze się wam tu żyje. Ziemia, kamienie, drzewa, tylko prawdziwe rzeczy. O tym właśnie marzę, gdy myślę o emeryturze.

– Tak. Ten dom jest wspaniały.

Wszyscy patrzą w stronę alei wysadzonej lipami, które Richard kazał posadzić parami, naprzeciw siebie. Słońce przebija się przez liście i ogród tonie w fosforyzującym świetle w kolorze wody miętovej.

Richard mówi o swojej pracy, o tym, co nazywa „swoją wizją medycyny”. Opowiada historie pacjentów, śmieszne i wzruszające historie, których nigdy nie opowiada Adèle, a ona ich słucha ze spuszczonym wzrokiem. Chciałaby, żeby goście się pożegnali i żeby zostali we dwójkę, ciesząc się wieczornym chłodem. Żeby dokończyli, nawet w milczeniu, nawet trochę pogniewani, butelkę wina stojącą na stole. I żeby, najpierw jedno, potem drugie, położyli się spać.

– Pani pracuje, Adèle?

– Nie. Ale byłam dziennikarką w Paryżu.

– I nie brakuje pani tego?

– Jeśli ktoś pracuje czterdzieści godzin w tygodniu po to, żeby zarabiać tyle co niania, to nie wiem, czy jest czego żałować – przerywa jej Richard.

– Dasz mi papierosa?

Richard wyjmuje paczkę z kieszeni i kładzie ją na stole. Dużo wypił.

Jedzą bez apetytu. Adèle nie jest dobrą kucharką. Na próżno goście chwalać jedzenie, wie, że mięso jest rozgotowane, a warzywa bez smaku. Isabelle z napięciem malującym się na twarzy wolno przeżuwa, jakby się bała, że się udusi.

Adèle bez przerwy pali. Ma wargi sine od tytoniu. Unosi brwi, gdy Nicolas pyta:

– Skoro obraca się pani w tych kręgach, co pani myśli o sytuacji w Egipcie?

Nie mówi mu, że nie czyta już gazet. Nie włącza telewizora. Że zrezygnowała nawet z oglądania filmów. Za bardzo boi się opowieści, miłości, seksu na ekranie, nagich ciał. Jest zbyt nerwowa, by znieść zgiełk świata.

– Nie jestem specjalistką od Egiptu. Za to...

– Ale – poprawia ją Richard.

– Tak, ale dużo pracowałam w Tunezji.

Rozmowa staje się banalna, słabnie, jej tempo spada. A kiedy wyczerpują się wszystkie tematy, jakie mogą bez ryzyka poruszyć osoby, które się nie znają, już nie mają sobie wiele do powiedzenia. Słychać odgłosy widelców i przełykania. Adèle wstaje z papierosem przyklejonym do warg i półmiskiem w każdej ręce.

– Świeże powietrze męczy. – Verdonowie powtarzają ten żart trzykrotnie i w końcu wychodzą niemal wyrzuceni przez Richarda, który macha im ręką, stojąc na żwirowej alejce. Patrzą, jak sąsiedzi wracają do siebie, zastanawiając się, jakie tajemnice, jakie wady może kryć ta nudna para.

– Co o nich myślisz? – pyta Richard.

– Nie wiem. Są mili.

– A on? Co o nim myślisz?

Adèle nie podnosi wzroku znad zlewu.

– Powiedziałałam ci. Uważam, że są mili.

Adèle idzie na górę do sypialni. Przez okno widzi, jak Verdonowie zamykają okiennice. Kładzie się i zastyga w bezruchu. Czeka na niego.

Ani razu nie spali oddzielnie. W nocy Adèle słucha jego oddechu, jego chrapania, tych wszystkich gardłowych odgłosów, które składają się na życie pary. Zamyka oczy i stara się zajmować jak najmniej miejsca. Z głową na skraju łóżka i zwisającą ręką, nie ma odwagi się odwrócić. Mogłaby rozprostować kolano, wyciągnąć ramię, udać, że śpi, i musnąć jego skórę. Ale się nie rusza. Gdyby go dotknęła, choćby przez nieuwagę, mógłby wpaść w złość, zmienić zdanie, wyrzucić ją na bruk.

Gdy jest pewna, że Richard śpi, odwraca się. Patrzy, jak jej mąż leży w trzęsącym się łóżku, w sypialni, w której wszystko wydaje się jej kruche. Już żaden gest nigdy więcej nie będzie niewinny. Budzi w niej to przerażenie i olbrzymią radość.

Gdy Richard był młodym lekarzem, odbywał staż na izbie przyjęć w szpitalu Pitié-Salpêtrière. Staż z gatunku tych, w trakcie których często się słyszy, że „wiele można się tu dowiedzieć o medycynie i naturze ludzkiej”. Richard zajmował się przede wszystkim chorymi na grypę, ofiarami wypadków drogowych, napadów, omdleń. Myślał, że zobaczy przypadki odbiegające od normy. Staż okazał się śmiertelnie nudny.

Bardzo dobrze pamięta mężczyznę, który został przyjęty tamtej nocy. Kloszarda w spodniach ubabranych gównem. Widać mu było tylko białka oczu, miał pianę na wargach, a jego ciałem wstrząsały drgawki.

– Ma konwulsje? – spytał Richard ordynatora.

– Nie. Jest na głodzie. Delirium tremens. Majaczenie drżenne.

Gdy osoby uzależnione przestają pić, przeżywają atak głodu alkoholowego o nieznośnej sile. „Trzy do pięciu dni po odstawieniu alkoholu chory zaczyna mieć omamy, często wzrokowe, mające związek z pełzającymi zwierzętami, najczęściej węzami i szcurami. Jest w stanie krańcowej dezorientacji, cierpi na omamy paranoidalne i jest pobudzony. Niektórzy słyszą głosy, inni mają ataki padaczki. Jeżeli nikt się nimi nie zajmie, taki stan może się skończyć nagłą śmiercią. Ponieważ ataki często najgorsze są w nocy, pacjent potrzebuje towarzystwa”.

Richard czuwał w nocy nad pacjentem, który walił głową w ścianę i machał rękami, jakby chciał coś przepędzić. Nie dopuścił, by zrobił sobie coś złego, dał mu środki uspokajające. Niezrażony, rozciął brudne spodnie i wyszorował ciało kloszarda. Umył mu twarz i obciął brodę, na której zaschły wymiociny. Nawet go wykąpał.

Rano, gdy pacjent odzyskał resztki rozumu, które mu pozostały, Richard próbował przemówić mu do rozsądku. „Nie można tak po prostu przestać pić. To bardzo niebezpieczne, sam pan widzi. Wiem, może nie miał pan wyboru, ale są metody, procedury z myślą o ludziach w pańskiej sytuacji”. Mężczyzna nie patrzył na niego. Miał fioletową opuchniętą twarz, oko zniszczone żółtaczką i od czasu do czasu wstrząsał nim dreszcz, jakby po plecach przebiegł mu szcur.

Po piętnastu latach praktyki doktor Robinson może powiedzieć, że zna ciało ludzkie. Nic go nie odstręcza, nic go nie przeraża. Umie dostrzegać sygnały, łączyć poszlaki. Znajdować rozwiązania. Umie nawet mierzyć ból, pyta pacjentów: „Gdyby miał pan to ocenić w skali od jeden do dziesięciu, powiedziałby, że jak bardzo pan cierpi?”.

Przy Adèle ma wrażenie, że żył z chorą bez objawów, że spotkał się z przypadkiem uspiętego raka, który zżera, ale się nie ujawnia. Gdy wprowadzili się do domu, czekał, aż Adèle upadnie. Aż zacznie być nerwowa. Był przekonany, że jak każdy narkoman pozbawiony narkotyku, straci rozum, i przygotował się na to. Myślał sobie, że będzie wiedział, jak postąpić, jeżeli zrobi się agresywna, rzuci

się na niego z pięściami czy zacznie wyć w nocy. Jeżeli zacznie się ranić, wbijać sobie nóż pod paznokcie. Zachowałby się jak naukowiec, przepisałby jej leki. Uratowałby ją.

Tamtego wieczoru gdy poszedł z nią na konfrontację, był bezbronny. Nie podjął żadnej decyzji co do ich przyszłości. Chciał tylko zrzucić ciężar, zobaczyć, jak ona pada pod wpływem jego spojrzenia. W szoku, ogłupiały, był wściekły z powodu bierności Adèle. Nie usprawiedliwiała się. Nie próbowała choćby raz zaprzeczyć. Wyglądała jak dziecko, któremu ulżyło, gdy odkryto jego tajemnicę, i jest gotowe ponieść karę.

Nalała sobie kieliszek wina. Zapaliła papierosa i powiedziała:

– Zrobię, co zechcesz. – A potem wybąkała: – W sobotę są urodziny Luciena.

Wtedy sobie przypomniał. Odile i Henri mieli przyjechać do Paryża. Kilka tygodni wcześniej zaprosili Clémence, kuzynów i całą masę znajomych. Nie miał odwagi wszystkiego odwoływać. Czuł, że to śmieszne. Że wobec życia, które legło w gruzach, takie zobowiązania towarzyskie nie powinny mieć żadnego znaczenia. Ale czepiał się ich jak tonący brzytwy.

– Wyprawimy urodziny, a potem się zobaczy.

Wydał jej instrukcje. Nie chciał widzieć jej obrażonej ani płaczącej. Ma być uśmiechnięta, wesoła i zachowywać się bez zarzutu. „Masz taki talent do udawania”. Sama myśl o tym, że ktoś się dowie, że to się rozniesie, wywoływała w nim straszliwy lęk. Gdyby Adèle miała opuścić rodzinne stadło, trzeba byłoby znaleźć jakieś wyjaśnienie, wymyślić jakiś banalny scenariusz. Powiedzieć, że przestali się rozumieć i tyle. Kazał jej przysiąc, że nikomu nic nie powie. I nigdy w jego obecności nie padnie z jej ust imię Lauren.

W sobotę w milczeniu nadmuchali baloniki. Udekorowali mieszkanie, a Richard nadludzkim wysiłkiem powstrzymywał się, by nie wrzeszczeć na Luciena, który biegał jak oszalały po całym mieszkaniu. Nie odpowiedział Odile, która dziwiła się, że tak dużo pije wczesnym popołudniem. „To przecież podwieczorek dla dzieci, nie?”

Lucien był szczęśliwy. O dziewiętnastej zasnął w ubraniu pośród nowych zabawek. Zostali we dwójkę. Adèle podeszła do niego uśmiechnięta, z błyszczącym wzrokiem.

– Wszystko się udało, prawda?

Leżąc na kanapie, patrzył, jak sprząta salon, i jej spokój wydał mu się czymś potwornym. Nie był w stanie jej znieść. Najmniejszy gest go irytował. Sposób, w jaki odgarniała kosmyk włosów za ucho. Język na dolnej wardze. Mania brutalnego wrzucania naczyń do zlewu, nieustannego palenia. Nie mógł dostrzec w niej cienia wdzięku, niczego interesującego. Miał ochotę ją uderzyć, chciał, żeby zniknęła.

Podszedł do niej i powiedział stanowczo:

- Zabierz swoje rzeczy i idź stąd.
- Co? Teraz? A Lucien? Nawet się z nim nie pożegnałam.
- Wyjdź stąd – wrzasnął.

Uderzył ją kulami i zawlókł do sypialni. Wrzucał jej rzeczy do torby bez słowa, z determinacją w oczach. Poszedł do łazienki i jednym ruchem zmiotł wszystkie jej kosmetyki, wszystkie jej perfumy do torebki. Błagała go po raz pierwszy. Rzuciła mu się do kolan. Z twarzą spuchniętą od łez, głosem przerywanym łkaniem przysięgała, że bez nich umrze. Że nie przeżyje utraty syna. Powiedziała, że jest gotowa na wszystko, byle jej przebaczył. Że chce się wyleczyć, że oddałaby wszystko, by dostać drugą szansę. „Tamto życie było dla mnie niczym. Niczym”. Powiedziała mu, że go kocha. Że nigdy nie liczył się dla niej żaden mężczyzna. Że tylko z nim chce żyć.

Sądził, że jest wystarczająco silny, by wyrzucić ją na ulicę bez pieniędzy, bez pracy, wiedząc, że jedynym wyjściem dla niej będzie powrót do matki do ponurego mieszkania w Boulogne-sur-Mer. Przez minutę czuł się nawet zdolny odpowiedzieć na pytania Luciena. „Mama jest chora. Musi mieszkać z dala od nas, by poczuć się lepiej”. Ale mu się to nie udało. Nie potrafił otworzyć drzwi i wypchnąć jej ze swojego życia. Znieść myśli, że ona może istnieć gdzieś indziej. Jakby jego złość nie była wystarczająca. Jakby chciał zrozumieć, co doprowadziło ich obydwoje do takiego szaleństwa.

Rzucił torbę na ziemię. Wbił wzrok w jej błagające oczy, w oczy ściganego zwierzęcia, i potrząsnął nogą, żeby ją strącić. Upadła jak martwy ciężar, a on wyszedł. Panowało dojmujące zimno, ale nic nie czuł. Wczepiony w kule szedł wolno ulicą aż do postoju taksówek. Kierowca pomógł mu wyprostować nogę w gipsie na tylnym siedzeniu. Richard podał mu banknot i kazał ruszać. „I proszę, żeby wyłączył pan muzykę”. Jechali bulwarami i mostami, przejeżdżali z jednego brzegu na drugi w niekończącym się zygzaku. Jechał, a ból go ścigał. Miał wrażenie, że jeśli na chwilę się zatrzyma, cierpienie go unicestwi, nie będzie zdolny wykonać żadnego ruchu, nawet oddychać. Kierowca w końcu wysadził go koło dworca Saint-Lazare. Richard wszedł do kawiarni. W sali było pełno ludzi, starsze małżeństwa, które wyszły z teatru, hałaśliwi turyści, rozwódki szukające nowego życia.

Mógł do kogoś zadzwonić, wyplakać się na ramieniu przyjaciela. Ale jak miałby to opisać? Co miałby powiedzieć? Adèle pewnie sądzi, że nie wspomina o tym nikomu ze wstydu. Że woli zachować twarz, niż szukać wsparcia i przyjaznego współczucia. Pewnie myśli, że on się boi, iż uznają go za rogowca, za upokorzonego mężczyznę. Tymczasem on ma gdzieś ich opinię na swój temat. Obawia się tego, co powiedzą o niej, w jaki sposób ją podsumują, zredukują. Jak karykaturalnie przedstawią jego smutek. Najbardziej boi się, że narzucą mu

decyzję, że powiedzą pewnym głosem: „W tej sytuacji, Richard, możesz jedynie się z nią rozstać”. Gdyby coś powiedział, uczyniłby sytuację nieodwracalną.

Do nikogo nie zadzwonił. Samotnie wpatrywał się godzinami w kieliszek. Tak długo, że nawet nie zauważył, jak sala opustoszała, zrobiła się druga w nocy, a stary kelner w białym fartuchu czekał, aż on zapłaci i sobie pójdzie.

Wrócił do domu. Adèle spała w łóżku Luciena. Wszystko było normalnie. Straszliwie normalnie. Nie mógł pojąć, jak udaje mu się żyć.

Następnego dnia miał gotową diagnozę. Adèle jest chora, musi się leczyć. „Znajdziemy kogoś. Weźmie się za ciebie”. Dwa dni później zaciągnął ją do laboratorium i kazał jej pobrać całe hektolitry krwi. Gdy dostał wyniki, które były dobre, stwierdził: „Miałaś dużo szczęścia”.

Zadawał jej pytania. Tysiące pytań. Nie dawał minuty wytchnienia. Budził ją w środku nocy, żeby potwierdzić podejrzenia, spytać o szczegóły. Miał obsesję na punkcie dat, okoliczności, łączenia wydarzeń. Powtarzała mu: „Nie pamiętam, zapewniam cię. To się nigdy dla mnie nie liczyło”. Ale on chciał wiedzieć o tych mężczyznach wszystko. Poznać ich nazwiska, wiek, zawód, miejsce, w którym ich poznała. Chciał wiedzieć, ile czasu trwały jej romanse, gdzie się spotykali, co przeżyli.

W końcu się poddała i opowiedziała mu, w ciemności, odwrócona do niego plecami. Myślała jasno, wyrażała się precyzyjnie i bez emocji. Nieraz wchodziła w szczegóły seksualne, lecz przerywał jej. Mówiła: „Przecież tylko o to chodzi”. Próbowала mu wytłumaczyć niezaspokojoną żądzę, popęd, którego nie dało się opanować, rozpacz, że nie jest w stanie z tym skończyć. A jego prześladowała myśl, że potrafiła zostawić Luciena na całe popołudnie, by spotkać się z kochankiem. Że wymyśliła nagłą podróż służbową, by odwołać rodzinny wyjazd i pieprzyć się przez całe dwa dni w podłym hotelu na przedmieściu. Oburzała go i jednocześnie fascynowała łatwość, z jaką kłamała i wiodła podwójne życie. Dał się nabrać. Manipulowała nim jak zwykłą kukielką. Może nawet nieraz śmiała się z niego, wracając do domu z brzuchem pełnym jeszcze spermy, ze skórą przesiąkniętą innym potem. I z pewnością powiedziała: „Mój mąż? Nie martw się, nie ma o niczym pojęcia”.

Przeżuwał te wspomnienia, aż robiło mu się niedobrze. Próbował przypomnieć sobie swoje zachowanie, gdy wracała późno, gdy znikwała. Jak wtedy pachniała? A czy w jej oddechu, gdy z nim rozmawiała, był jeszcze oddech innych mężczyzn? Szukał znaku, może oczywistej rzeczy, której nie chciał zobaczyć. Ale nic, żadne znaczące wydarzenie nie przychodziło mu do głowy. Jego żona była naprawdę wspaniałą oszustką.

Gdy przedstawił Adèle swoim rodzicom, Odile okazała dużą rezerwę wobec wyboru syna. Jemu nic nie powiedziała, lecz dowiedział się od Clémence, że użyła słowa „wyrachowana”. „To nie dziewczyna dla niego. Jest zarozumiała”. Odile

nigdy nie darzyła zaufaniem tej skrytej kobiety. Martwił ją jej chłód, brak instynktu macierzyńskiego.

On jednak, nieśmiały nudny student z prowincji, niczego w życiu nie pragnął tak bardzo, jak wziąć tę kobietę w ramiona. Richarda oczarowała nie tylko jej uroda, ale także sposób zachowania. Gdy na nią patrzył, musiał głęboko oddychać. Jej obecność przepelniała go do tego stopnia, że czuł ból. Lubił obserwować, jak żyje, znał na pamięć każdy jej gest. Mówiła mało. W przeciwieństwie do jego koleżanek, studentek medycyny, nie gustowała w plotkach i pustych rozmowach. Zabierał ją do eleganckich restauracji. Organizował podróże do miast, o których marzyła. Bardzo szybko przedstawił ją rodzicom. Poprosił, by z nim zamieszkała, i sam zajął się szukaniem mieszkania. Często powtarzała: „Zdarza mi się to po raz pierwszy”. A on był z tego dumny. Obiecał, że nie będzie się musiała niczym zajmować, bo będzie się o nią troszczył jak nikt inny przed nim. Była jego nerwicą, szaleństwem, marzeniem o ideale. Jego innym życiem.

– No już. Jeszcze raz.

Na początku zamykała oczy. Przez to nic nie dało się zrobić. Była taka sztywna, taka zimna, że dostawał szału. Miał ochotę ją uderzyć, przerwać, zostawić ją samą. Poświęcają się temu w sobotnie popołudnia, czasami w niedzielę. Richard zmusza się do cierpliwości. Bierze głęboki oddech, gdy po raz setny zadaje mu to samo pytanie cienkim głosem małej dziewczynki. Adèle zgina ręce, kuli się w ramionach, patrzy prosto przed siebie. Nic nie rozumie.

– Ale rozluźnij się. Nie kładź się tak, wyprostuj się trochę. To ma być przyjemność, nie męka – irytuje się Richard.

Bierze ręce Adèle i kładzie je na kierownicy. Ustawia lusterko.

Jadą wiejskimi drogami w lipcowe popołudnie. Lucien siedzi z tyłu. Adèle włożyła sukienkę przed kolano i położyła nagie stopy na pedałach. Jest gorąco, drogi są puste.

– Widzisz, nie ma tu nikogo, nie ma żadnego powodu do niepokoju. Możesz chyba trochę przyspieszyć.

Adèle odwraca się i patrzy na Luciena, który zasnął. Waha się, a potem nagle naciska na gaz. Samochód nabiera rozpędu. Adèle jest przerażona.

– Wrzuć czwórkę! Zniszczysz silnik. Nie słyszysz, jak wyje? No co ty wyprawiasz?

Adèle gwałtownie hamuje i obraca spokojną twarz do Richarda.

– To niebawale, jakbyś nie była w stanie posługiwać się jednocześnie rękami i nogami. Jesteś naprawdę beznadziejna, wiesz?

Wzrusza ramionami i wybucha śmiechem. Richard patrzy na nią oniemiały. Zupełnie zapomniał, jak brzmi jej śmiech. Ten odgłos żywej wody, potoku. Gardłowy dźwięk, który sprawia, że odchyła głowę i pokazuje długą szyję. Nie pamiętał już, jak dziwnie zasłania rękami usta i zamyka oczy, przez co jej śmiech robi się nieco kpiący, prawie złośliwy. Ma ochotę przycisnąć ją do siebie, żywić się nagłą radością, wesołością, której im tak brakowało.

– Z powrotem ja poprowadzę. I wiesz co? Może lepiej by było, gdybyś wzięła prawdziwe lekcje. U profesjonalisty. To będzie skuteczniejsza metoda.

Adèle robi wolno postępy, ale obiecał sobie, że jeśli zda egzamin, kupi jej samochód. Z pewnością nie będzie mógł się powstrzymać przed sprawdzaniem licznika i ograniczy jej wydatki na benzynę, lecz będzie przynajmniej mogła jeździć na krótkie dystanse. Kiedy się przeprowadzili, cały czas jej pilnował. Nie mógł się opanować. Śledził ją nawet, jak przestępczynię. Dzwonił kilka razy dziennie na numer domowy. Wychodził nieraz nagle z kliniki, między dwoma wizytami wracał do domu i zastawał ją na miejscu, siedzącą w niebieskim fotelu i wpatrzoną w ogród.

Zdarzyło mu się być okrutnym. Wykorzystał swoją władzę, by ją poniżyć.

Któregoś ranka poprosiła, żeby w drodze do kliniki podwiózł ją do miasta. Chciała zrobić zakupy, pospacerować. zaproponowała nawet, że zje z nim obiad w restauracji, o której jej opowiadał. „Poczekasz na mnie? Zajmie mi to dwie minuty”. Weszła na górę, żeby się przebrać. Gdy tylko przekręciła zamek w łazience, odjechał. Pewnie słyszała, jak samochód rusza, gdy się ubierała. Pewnie patrzyła przez okno, jak się oddala. Wieczorem nawet nie wspomniał o tym incydencie. Spytał, jak minął jej dzień. Odpowiedziała z uśmiechem: „Bardzo dobrze”.

W obecności osób trzecich robi rzeczy, których potem żałuje. Ścisła jej ramię, szczypie ją w plecy, obserwuje tak intensywnie, że inni są skrępowani. Śledzi jej najmniejszy ruch. Czyta jej z warg. Rzadko gdzieś wychodzą, ale cieszy się, że zaprosił Verdonów. Może po wakacjach zorganizuje imprezę. Coś prostego, dla znajomych z pracy i rodziców kolegów Luciena.

Jest zmęczony swoimi ciągłymi podejrzeniami. Nie chce dłużej sądzić, że zawdzięcza jej obecność wyłącznie jej brakowi samodzielności. Zachęca ją, by pojechała z Lucieniem pociągiem odwiedzić dziadków w Caen lub w Boulogne-sur-Mer. Powiedział jej nawet, że nadszedł czas, by zastanowić się nad tym, co chce w życiu robić.

Nieraz ogarnia go irracjonalny entuzjizm czy optymizm, którego każdy lekarz powinien się wystrzegać. Wmawia sobie, że może ją wyleczyć, że wczepiła się w niego, bo poczuła, że jest jej ratunkiem. Poprzedniego dnia wstała w dobrym humorze. Była przepiękna pogoda. Richard zabrał ją do miasta z Lucieniem, bo miała coś dla niego kupić. W samochodzie opowiadała o sukience na wystawie, która jej się spodobała. Coś mętnie bąknęła na temat pieniędzy, które jej zostały, i tego, ile będzie musiała oszczędzać, żeby sobie kupić tę sukienkę. Richard jej przerwał: „Rób z tymi pieniędzmi, co chcesz. Przestań się z nich spowiadać”. Wyglądała jednocześnie na wdzięczną i bezradną, jakby przyzwyczaiła się do tej nieczystej gry.

„Uszczęśliwić ją”. Jakie wydawało się to łatwe, gdy Henri mówił o Odile, gdy powtarzał, że to jest właśnie cel życia. Założyć rodzinę i uszczęśliwić ją. Jakie to zdawało się proste na stopniach merostwa, w poczekalni porodówki, gdy urządzali parapetówkę i wszyscy byli przekonani, że Richard trzyma w rękach klucze do udanego życia.

Odile bez przerwy powtarza, że powinni mieć drugie dziecko. Że tak piękny dom jest stworzony dla dużej rodziny. Za każdym razem gdy ich odwiedza, spogląda porozumiewawczo na brzuch Adèle, która przecząco kręci głową. Richard jest tak skrępowany, że udaje, iż nie rozumie, o co chodzi.

Wymyślił jej nowe życie, w którym jest trzymana z dala od siebie i swoich popędów. Życie złożone z obowiązków i zwyczajów. Każdego ranka ją budzi. Nie chce, żeby się za długo wylegiwała w łóżku, by nachodziły ją ponure myśli. Zbyt dużo snu jej szkodzi. Richard nie wychodzi z domu, póki nie zobaczy, że włożyła adidasy i biegnie po bitej drodze. Koło żywoplotu Adèle odwraca się i macha do niego, a on rusza.

Simone zawsze nienawidziła wsi, z pewnością dlatego, że tam dorastała. Opowiadała o niej córce jak o miejscu zięjącym pustką, przyroda jest zaś dla Adèle dziką bestią, człowiek myśli, że ją oswoił, a ona skacze mu znienacka do gardła. Nie ma odwagi powiedzieć Richardowi, że boi się biegać po wiejskich drogach, zapuszczać się w głąb pustego lasu. W Paryżu lubiła biegać pośród przechodniów. Miasto narzucało jej rytm, tempo. Tu biega szybciej, jakby ścigali ją napastnicy. Richard chciałby, żeby podziwiała krajobraz, zachwycała się spokojem dolin i harmonią stawów. Ale ona nigdy się nie zatrzymuje. Biegnie tak, że oddech wypala jej płuca, i wraca wykończona, z biciem w skroniach, zawsze zdziwiona, że się nie zgubiła. Ledwie ma czas zdjąć buty, a już dzwoni Richard, ona zaś stara się odzyskać oddech, żeby odebrać telefon.

„Trzeba zmęczyć ciało”. Powtarza to zdanie, by dodać sobie zapału. Czasami wierzy w to rano, po dobrze przespanej nocy. Jest pełna optymizmu, robi plany. Ale godziny mijają i zżerają resztki jej determinacji. Psychiatra poradził jej, by wrzeszczała. Rozśmieszyło to Adèle. „Mówię poważnie. Musi się pani drzeć, najgłośniej, jak pani potrafi”. Powiedział, że to przyniesie jej ulgę. Ale nawet sama, nawet na bezludziu nie zdołała uzewnętrznic swojej wściekłości. Wydać z siebie krzyku.

Po południu to ona odbiera Luciena. Idzie pieszo do miasteczka, z nikim nie rozmawia. Odkłania się przechodniom ruchem podbródka. Serdeczność mieszkańców ją mrozi. Stara się nie czekać przed bramą przedszkola, bo się boi, że inne matki się do niej odezwą. Wy tłumaczyła synowi, że wystarczy, jak zrobi parę kroków, by się z nią spotkać. „Wiesz, tam, gdzie jest rzeźba krowy. Tam będę na ciebie czekała”.

Przychodzi zawsze wcześniej. Siada na ławce naprzeciw dużej hali. Gdy ławka jest zajęta, stoi niewzruszona, aż ten ktoś poczuje się nieswojo i w końcu ustąpi jej miejsca. Richard opowiadał jej, że miasteczko zostało przez pomyłkę zbombardowane przez Amerykanów w 1944 roku. W niecałe dwadzieścia minut zniknęło z mapy. Architekci próbowali odtworzyć budynki w ich pierwotnym kształcie, z normandzkim murem pruskim, ale ich urok jest udawany. Adèle spytała, czy samoloty amerykańskie oszczędziły kościół ze względów religijnych. „Nie – odpowiedział Richard. – Po prostu był solidniejszy”.

Gdy nadeszła wiosna, jej lekarz nalegał, by spędzała czas na świeżym

powietrzu. Radził, by zajęła się ogrodnictwem, sadziła kwiaty i patrzyła, jak rosną. Émile pomógł jej założyć ogródek warzywny w głębi ogrodu. Spędza w nim dużo czasu z Lucienem. Jej syn lubi się paprać w błocie, podlewać bób, żuć pobrudzone ziemią liście. Ledwie zaczął się lipiec, Adèle musi przyznać, że dni są coraz krótsze. Wpatruje się w niebo, które coraz wcześniej ciemnieje, i z lękiem czeka na powrót zimy. Na nieprzerwany ciąg deszczowych dni. Lipy trzeba będzie przyciąć, a potem wystawać z nich będą czarne kikuty i drzewa zaczną przypominać olbrzymie szkielety. Opuszczając Paryż, wyzbyła się wszystkiego. Nie ma już pracy, przyjaciół, pieniędzy. Tylko ten dom, w którym zima trzyma ją w niewoli, a lato jest złudzeniem. Nieraz przypomina przerażonego ptaka, który uderza dziobem w okna i łamie sobie skrzydła o klamki drzwi. Coraz trudniej jej ukryć niecierpliwość, maskować gniew. A przecież się stara. Zagryza policzki, robi ćwiczenia oddechowe, żeby znieść lęk. Richard nie pozwala, by Lucien spędzał popołudnia przed telewizorem, więc Adèle zmusza się do wymyślania mu ciekawych zabaw. Któregoś wieczoru Richard zastał ją ze spuchniętymi oczami, zaczerwienioną twarzą, siedzącą na wykładzinie w salonie. Przez całe popołudnie próbowała wyczyścić farbę, którą Lucien poplamiał jej niebieski fotel. „Nie słuchał mnie. Nie umie się bawić”, powtarzała wściekła, zaciskając ręce.

– W czasie ostatniej wizyty powiedziała pani, że uważa się za wyleczoną. Co pani miała na myśli?

– Nie wiem – mówi, wruszając ramionami.

Lekarz nie przerywa milczenia. Wpatruje się w nią życzliwym wzrokiem. Gdy po raz pierwszy przyjął ją w gabinecie, powiedział, że nie ma narzędzi, by zająć się jej przypadkiem. Że zwykle zaleca się terapię zachowań, leczenie sportem i grupy wsparcia. Odpowiedziała stanowczym lodowatym głosem: „Mowy nie ma. To budzi mój niesmak. Uważam obnoszenie się ze swoją hańbą za brak godności”.

Nalegała, by spotykać się właśnie z nim. Utrzymywała, że budzi jej zaufanie. A on zgodził się wbrew sobie, pod niejakim wrażeniem tej chudej bladej kobiety, na której wisiała niebieska koszula.

– Powiedzmy, że jestem spokojna.

– Czy na tym pani zdaniem polega wyzdrowienie? Na byciu spokojną?

– Tak. Tak mi się wydaje. Ale wyzdrowienie jest też czymś strasznym. Oznacza, że coś się traci. Rozumie pan?

– Oczywiście.

– Pod koniec bez przerwy się bałam. Miałam wrażenie, że straciłam kontrolę. Byłam zmęczona, to się musiało skończyć. Ale nigdy nie sądziłam, że zdoła mi wybaczyć.

Paznokcie Adèle drapią płócienne oparcie fotela. Na zewnątrz czarne chmury pokazują swoje szpiczaste sutki. Niedługo będzie burza. Widzi stąd aleję i samochód, w którym czeka na nią Richard.

– Tej nocy, kiedy wszystko odkrył, bardzo dobrze spałam. Głębokim, zbawiennym snem. Gdy się obudziłam, mimo że dom był w nieładzie, a Richard mnie nienawidził, czułam dziwną radość, nawet podniecenie.

– Ulżyło pani.

Adèle milczy. Krople deszczu z wściekłością walą w bruk. Jakby w środku popołudnia zapadła noc.

– Zmarł mój ojciec.

– Och, tak mi przykro, Adèle. Czy pani ojciec chorował?

– Nie. Zmarł na wylew, wczoraj wieczorem, gdy spał.

– Czy czuje pani smutek?

– Nie wiem. W sumie nigdy mu się tu nie podobało. – Opiera twarz na prawej ręce i zagłębia się w fotel. – Pojadę na pogrzeb. Sama. Richard nie może zostawić kliniki, a poza tym uważa, że Lucien jest za mały, żeby mieć styczność ze śmiercią. Właściwie nawet nie zaproponował, że będzie mi towarzyszył. Pojadę tam. Sama.

– Ma pani za złe Richardowi, że zostawia panią w takich okolicznościach?

– Och, nie – odpowiada cicho. – Cieszę się z tego.

Richard nigdy nie przywiązywał wagi do seksu. Nawet gdy był młody, czerpał z niego jedynie względną przyjemność. Te ćwiczenia zawsze go trochę nudziły. Uważał, że trwa to za długo. Czuł, że nie potrafi odgrywać komedii namiętności, i sądził, że Adèle z ulgą przyjmuje jego letnie pożądanie. Tak jak przyjmowałyby je każda inteligentna subtelna kobieta. Sądził, że wobec tego, co jej daje, seks jest niczym. W obecności osób trzecich czasem trochę udawał, dla zachowania pozorów i by się uspokoić. Pozwalał sobie na wulgarną uwagę na temat pośladków jakiejś dziewczyny. Wspominał przyjaciółom o romansie. Nie był z tego dumny. Nigdy o tym nie myślał.

Zawsze marzył, by być ojcem, mieć rodzinę, która liczyłaby na niego i której mógłby ofiarować to, co sam dostał. Pragnął Luciena ponad wszystko i perspektywa jego poczęcia napawała go lękiem. Ale Adèle zaszła w ciążę bardzo szybko, wręcz od pierwszego razu. Udawał, że to powód do dumy, dowód jego męskości. A tak naprawdę poczuł ulgę, że nie musi męczyć ciała tej, którą kochał.

Richard ani razu nie pomyślał o zemście. Ani nawet o przywróceniu równowagi w walce, jak wiedział, z góry dla niego przegranej. Raz pojawiła się okazja, by odprowadzić dziewczynę, i skorzystał z niej, wiele się nie zastanawiając. Nie wiedząc, czego szuka.

Trzy miesiące po rozpoczęciu pracy w klinice przedstawiono mu Matildę, która odbywała staż w aptece ojca. Młodą okrągłą dziewczynę o oliwkowych oczach, ukrywającą pryszczę pod długimi rudymi włosami. Niewiele jej brakowało, by była ładna.

Któregoś wieczoru Richard pił piwo naprzeciw kliniki, gdy zobaczył ją przy stoliku z dwoma dziewczętami w jej wieku. Pomachała do niego. Uśmiechnęła się. Nie zrozumiał, czy zaprasza, by się do nich dosiadł, czy też po prostu poczuła się w obowiązku powiedzieć mu dzień dobry, bo jest znajomym jej ojca. Richard jej się odkłonił.

Nie zwracał na nią już więcej uwagi, jego myśli spowalniał alkohol i upał. Całkiem o niej zapomniał, gdy nagle podeszła do stolika i spytała:

– Richard, prawda?

Krople potu spływały mu wzdłuż kręgosłupa.

– Tak, Richard Robinson. – Niezdarnie wstał i uścisnął jej dłoń.

Usiadła, nie pytając o pozwolenie, w sumie nie aż tak nieśmiała, jak sobie wyobrażał, gdy czerwieniła się w aptece za ladą. Zaczęła mu opowiadać o studiach, o Rouen, gdzie mieszka, o medycynie, którą chciałaby studiować, ale brakuje jej odwagi. Mówiła bardzo szybko wysokim śpiewnym głosem. Richard słabo potakiwał z twarzą zlaną potem. Bardzo się starał nie spuszczać z niej szeroko otwartych oczu, uśmiechać się we właściwym momencie, nieraz nawet podtrzymywać rozmowę.

Szli ulicą bez konkretnego celu. Poprosił ją o papierosa i z trudem go wypalił. Miał ochotę spytać: „No więc co robimy?”, ale milczał. Dotarli do kliniki, bez wahania czy pośpiechu. Richard wyjął klucze i weszli przez garaż.

Gdy znaleźli się w gabinecie, Richard zamknął okiennice.

– Przykro mi, nie mam nic do picia. Może wody?

– Mogę zapalić?

Skóra. Jej mleczna skóra była nijaka. Kładł na niej wargi. Otwierał lekko usta, przejeżdżał językiem po wyżłobieniu szyi, za uchem. Jej ciało było kompletnie pozbawione smaku, jakiegokolwiek wyrazu. Nawet jej pot nie miał zapachu. Tylko palce czuć było lekko papierosami.

Sama rozpięła cienką białą bluzkę, którą miała na sobie, i Richard oglądał zdumiony wypukły brzuch, fałdki tłuszczu nad spódnicą, cienkie wałeczki między gumkami stanika. Znowu prześladowała go chudość Adèle.

Dwudziestopięcioletnia Matilda odgrywała femme fatale i była trochę śmieszna, gdy stała tak oparta o biurko, fałszywie zdradliwa. W pomieszczeniu nie było słycać żadnego dźwięku. Nawet mebel, o który się opierali, nie skrzypiał. Ledwie oddychała. Próbowwała różnych rzeczy, ale wydawała się rozczarowana, że seks zakazany, ze starszym, a w dodatku żonatym mężczyzną, nie wzniecił więcej iskier. Było wręcz mniej zabawnie niż z kolegami z wydziału. Richard nie był zabawny.

Przechyliła głowę w jedną stronę, potem w drugą. Zamknęła oczy. Jej obfite uda objęły Richarda. Na próżno chwycił ją za pośladki, rozpinął biustonosz, żeby zobaczyć białe piersi – nie potrafił doprowadzić się do orgazmu. W końcu wycofał się wolno, a gdy znaleźli się na ulicy, nie chciała, żeby ją odprowadzał.

– Mieszkam przecież tuż obok.

Wziął samochód. Czuł się teraz całkiem trzeźwy. Przez całą drogę podnosił ręce do nosa, wąchał je, nawet ich próbował, ale pachniały jedynie mydłem antyseptycznym.

Matilda nie pozostawiła żadnego śladu.

Richard odwozi ją na dworzec. W samochodzie Adèle patrzy przez okno. Dzień dopiero wstaje. Zamglone słońce pieści wzgórze. Żadne z nich nie wspomina o tym, jak dziwna jest ta sytuacja. Ona nie ma odwagi go uspokajać, okazać mu czułości, obiecać, że nic nie knuje, nie myśli o ucieczce. Richard czuje ulgę, że nadszedł moment, by pozwolić jej wyjechać i choćby przez kilka godzin pokosztować wolności.

Wróci do niego.

Patrzy, jak zachwycająca i smutna pali papierosa przy wejściu na dworzec. Richard wyjmuje portfel i podaje jej zwitek banknotów.

- Dwieście euro. Wystarczy?
- Tak, nie martw się.
- Jeśli chcesz więcej, to mi powiedz.
- Nie, dziękuję. Tak jest dobrze.
- Schowaj je od razu, bo zgubisz.

Adèle otwiera torebkę i wkłada banknoty do kieszonki.

- Więc do jutra.
- Tak, do jutra.

Adèle siada na swoim miejscu przy szybie, w kierunku przeciwnym do jazdy. Pociąg rusza. W przedziale panuje grzeczna cisza. Wszystkie gesty są wyciszone, ludzie zasłaniają ręką usta, rozmawiając przez telefon. Dzieci śpią, słuchawki ściśle przylegają do uszu. Adèle morzy sen, krajobrazy za oknem są już tylko kolorami, które wystają z kadru, rysunkami o zamazanych konturach, masą szarości przesączonej zielenią i czernią. Włożyła czarną sukienkę i trochę niemodną marynarkę. Naprzeciw niej siada mężczyzna, mówi jej dzień dobry. Należy do tych, których bez problemu mogłaby zaczepić. Jest zdenerwowana, dezorientowana. Nie obawia się mężczyzn, tylko samotności. Świadomości, że nikt jej już nie pilnuje, że jest nieznajomą, osobą anonimową, pionkiem w tłumie. Przeraza ją to, że jest w ruchu, i myśl, że ucieczka jest możliwa. Nie warta rozważenia, ale możliwa.

Na końcu przedziału za przeszklonymi drzwiami stoi dziewczyna. Ma nie więcej niż siedemnaście lat. Długie smukłe nogi nastolatki i nieco zgarbione plecy. Chłopak, który ją całuje, nie zdjął plecaka i pochyła się nad nią, tak że niemal ją przygniata. Z zamkniętymi oczami, otwartymi ustami ich języki obracają się wokół siebie w kółko, bez przerwy.

Simone spytała, czy chce powiedzieć parę słów, by oddać hołd ojcu. Adèle odpowiedziała, że raczej nie. Nie wie tak naprawdę, co mogłaby powiedzieć o tym mężczyźnie, którego tak słabo znała.

Właśnie na tej tajemnicy wyrosło jej uwielbienie. Uważała, że jest dekadenski, ekstrawagancki, oryginalny. Uznawała, że jest przystojny. Mówił

z pasją o wolności i rewolucji. Gdy była dzieckiem, pokazywał jej filmy hollywoodzkie z lat sześćdziesiątych, powtarzając, że tak właśnie powinno się żyć. Tańczył z nią, a jej napływały do oczu łzy z radości i zaskoczenia, gdy widziała, jak unosi do góry nogę, obraca się na czubku buta i robi piruet do melodii Nat King Cole'a. Znał włoski, a przynajmniej tak sądziła, opowiadał, że jadł kawior łyżeczką z tancerkami Teatru Bolszoi w Moskwie, gdzie algierski rząd wysłał go na studia.

Nieraz w przypiływie melancholii śpiewał po arabsku piosenkę, której słów nigdy im nie zdradził. Złościł się na Simone, oskarżając ją, że oderwała go od korzeni. Wściekał się, był niesprawiedliwy, wrzeszczał, że nie potrzebuje tego wszystkiego, że mógłby to rzucić i odejść, by żyć samotnie w jakiejś dziurze, żywić się chlebem i czarnymi oliwkami. Mówił, że chciałby się nauczyć orać, siać, kopać ziemię. Że podobałoby mu się spokojne życie chłopskie, tak jak w dzieciństwie. I że nieraz nawet im zazdrościł, jak ptak zmęczony po długim locie zazdrości mrówce. Simone śmiała się okrutnym śmiechem, który go prowokował. A on nie wyjeżdżał. Nigdy.

Kołysana jazdą Adèle zapada w półsen. Otwiera drzwi do sypialni rodziców i widzi duże łóżko. Ciało ojca leżące jak mumia. Stopy zwrócone ku niebu, sztywne w całunie. Podchodzi bliżej, szuka ostatnich widocznych kawałków skóry. Rąk, szyi, twarzy. Dużego gładkiego czoła, głębokich zmarszczek w kącikach ust. Odnajduje znajome rysy, drogę, którą pokonywał uśmiech, kompletną mapę ojcowskich uczuć.

Kładzie się na łóżku, zaledwie kilka centymetrów od ciała. Jest tylko jej. Po raz pierwszy nie może uciec ani odmówić rozmowy. Z ramieniem pod głowę i skrzyżowanymi nogami Adèle zapala papierosa. Rozbiera się. Naga, leżąca koło trupa, pieści jego skórę, tuli go do siebie. Składa pocałunki na jego powiekach i zapadniętych policzkach. Myśli o wstydlivosti ojca, o jego odrazie do nagości, własnej i cudzej. Leżąc tu, zdany na jej łaskę, nie będzie mógł stawiać oporu wobec jej obsceniczej ciekawości. Pochyla się nad nim i wolno rozwiązuje całun.

Dworzec Saint-Lazare. Wysiada z pociągu i szybko idzie w górę rue d'Amsterdam.

Zerwali więzi z poprzednim życiem. Oстрым radykalnym cięciem. Zostawili za sobą dziesiątki kartonów wypełnionych ubraniami Adèle, wspomnieniami z podróży, a nawet albumami ze zdjęciami. Sprzedali meble i rozdali obrazy. W dniu wyjazdu obrzucili mieszkanie wzrokiem pozbawionym nostalgii. Oddali klucze właścicielce i ruszyli w drogę w ulewnym deszczu.

Adèle nie poszła więcej do redakcji. Nie miała odwagi złożyć wymówienia i w końcu dostała list, którym Richard zamachał jej przed nosem. „Zwolnienie dyscyplinarne. Porzucenie stanowiska pracy”. Nie interesują się losami dawnych przyjaciół, kolegów z uczelni, znajomych z pracy. Wynajdują preteksty, by nikt do nich nie przyjeżdżał w odwiedziny. Wiele osób zdziwił ten pospieszny wyjazd. Ale nikt nie starał się ustalić, co się z nimi stało. Jakby Paryż o nich zapomniał.

Adèle jest zdenerwowana. Czeką, aż zwolni się stolik w ogródku, i pali na stojąco, wpatrując się w klientów. Para turystów wstaje i Adèle wślizguje się na ich miejsce. Po drugiej stronie ulicy widzi nadchodzącą Lauren, która daje jej znaki, a potem spuszcza wzrok, jakby nie miała prawa się uśmiechać czy okazywać radości.

Rozmawiają o ojcu Adèle, o godzinie pogrzebu. Lauren mówi: „Gdybyś dała mi znać wcześniej, mogłabym z tobą pojechać”. Dowiaduje się, co słyhać u Richarda, u Luciena, pyta o miasteczko i dom. „To co można robić w tej dziurze?”, śmieje się histerycznie.

Wspominają przeszłość, ale bez specjalnego przekonania. Adèle na próżno stara się zebrać myśli, ma pustkę w głowie. Nie ma nic do opowiedzenia. Spogląda na zegarek. Mówi, że musi się zbierać, by zdążyć na pociąg. Lauren podnosi oczy do nieba.

– Co? – pyta ją Adèle.

– Popelniasz największy błąd w życiu. Dlaczego się tam zakopałaś? Jesteś szczęśliwa jako gospodyni domowa w dworku na prowincji?

Adèle jest rozgoryczona natarczywością Lauren, słuchaniem wciąż tego, że jej małżeństwo z Richardem jest błędem. Podejrzewa, że radami Lauren nie kieruje przyjaźń, tylko całkiem inne uczucia. „Nie jesteś szczęśliwa, przyznaj! Nie taka kobieta jak ty! Przecież nie wyszłaś za mąż z miłości”.

Adèle pozwala jej się wygadać. Zamawia drugi kieliszek wina i wolno pije. Pali i potakuje w milczeniu, słuchając zarzutów Lauren. Gdy przyjaciółce brakuje argumentów, Adèle przystępuje do ataku, zimna i precyzyjna. Z zaskoczeniem zauważa, że naśladuje intonację Richarda, posługuje się dokładnie tymi słowami, których on zazwyczaj używa. Przedstawia jasne teorie, wyraża proste uczucia, na które przyjaciółka nie ma odpowiedzi. Mówi o szczęściu, jakie daje posiadanie majątku, o znaczeniu, jakie ma dla Luciena kontakt z przyrodą. Wychwala skromne przyjemności, radości życia codziennego. Wypowiada nawet to zdanie, to głupie

niesprawiedliwe zdanie: „Wiesz, dopóki nie ma się dzieci, nie można tego zrozumieć. Mam nadzieję, że któregoś dnia sama się o tym przekonasz”. Okrucieństwo tych, którzy wiedzą, że są kochani.

Adèle jest spóźniona, ale zmierza wolno z dworca w Boulogne-sur-Mer do mieszkania rodziców. Idzie szarymi pustymi brzydkimi ulicami. Nie zdążyła na uroczystość w krematorium. Dotarcie na Gare du Nord zabrało jej dużo czasu i nie zdążyła na pociąg.

Gdy dzwoni do drzwi mieszkania, nikt nie odpowiada. Czeka przed budynkiem, siedząc na stopniu przed wejściem. Zatrzymuje się samochód i wysiada z niego Simone eskortowana przez dwóch mężczyzn. Ma na sobie czarną obcisłą sukienkę, kapelusik, który przypięła do koka, i woalkę. Włożyła nawet okropne satynowe rękawiczki, które zwijają się na jej pomarszczonych nadgarstkach. Nie obawia się, że wygląda w tym stroju śmiesznie. Odgrywa zrozpaczoną wdowę.

Wchodzą do mieszkania. Kelner rozkłada na stole kruche ciasteczka, na które rzucają się goście. Simone kładzie rękę na rękach, które inni kładą na niej. Wybucha niepowstrzymanym łkaniem, wyrzaskuje imię Kadera. Jęczy w ramionach starych facetów lekko podochoconych przez żalobę i alkohol.

Zamknęła okiennice i w domu panuje przytłaczający upał. Adèle kładzie marynarkę na starym czarnym fotelu i zauważa, że półki zostały opróżnione. Zniknęły płyty ojca, czuć jeszcze słodki zapach płynu antystatycznego, którym Simone czyściła drewno. Całe mieszkanie wydaje się czystsze niż zwykle. Jakby matka przez cały ranek szorowała podłogi i przecierała brzegi ramek ze zdjęciami.

Adèle nie odzywa się do nikogo. Niektórzy goście starają się przyciągnąć jej uwagę. Mówią głośno, w nadziei, że dołączy się do rozmowy. Wyglądają, jakby śmiertelnie się nudzili, jakby powiedzieli sobie już wszystko, i z pewnością wyobrażają sobie, że będzie mogła ich rozerwać. Pomarszczone twarze i odgłosy zużytych szczęk budzą w niej głęboki wstręt. Ma ochotę zatkać sobie uszy i zamknąć oczy, jak obrażone dziecko.

Wpatruje się w nią sąsiad z ósmego piętra. Ma szklisty wzrok. Jakby na jego powiece wisiała łza. Jest tak otyły, że Adèle z trudem znajdowała jego członek pod fałdami brzucha. Penis pocący się pod warstwami tłuszczu, gorący od pocierania o olbrzymie uda. Gdy była w liceum, chodziła do niego na górę po południu, po lekcjach. Miał salon i dwa pokoje. Duży balkon, na którym umieścił stół i krzesła. I widok, od którego zapierało dech w piersi. Siadał przy kuchennym stole ze spodniami spuszczoneymi do kostek, a ona patrzyła na morze. „Widzisz wybrzeże Anglii? Prawie można go dotknąć”. Horyzont był płaski. Oczywisty.

– Richard z tobą nie przyjechał? – pyta Simone, która zaciągnęła córkę do kuchni. Jest pijana.

– Nie mógł zostawić Luciena samego i wyjechać z kliniki w środku tygodnia. Mówił ci to przez telefon.

– Jestem rozczarowana i tyle. Myślałam, że zda sobie sprawę, jak będzie mi

przykro z powodu jego nieobecności. Chciałam mu przedstawić różnych ludzi i to by była dobra okazja. Ale skoro najwyraźniej...

– Najwyraźniej co?

– Odkąd pan ma swoją klinikę i wielki dom, mam wrażenie, że nie uważa nas już za godnych siebie. W tym roku przyjechał tylko raz, w dodatku ust nie otworzył. Powinnam była się domyślić i tyle.

– Przestań, mam. Dużo pracuje. To wszystko.

Obok kolekcji zapalek z barów hotelowych Simone położyła biało-różową porcelanową urnę. Przypomina duże pudełko z biszkoptami albo stary angielski dzbanek na herbatę. W ciągu jednej nocy jej ojciec przeniósł się z czarnego fotela na etażerkę w salonie.

– Nigdy nie sądziłam, że tata będzie chciał być skremowany.

Simone wzrusza ramionami.

– Nie był religijny, ale wywodził się przecież z kultury... Nie powinnaś była tego robić. Mogłaś ze mną o tym porozmawiać. – Kończy zdanie niezrozumiałym szeptem. – Po co właściwie tu przyjechałaś? Żeby mnie ochrzaniać? Brać stronę ojca nawet po jego śmierci? Dla ciebie zresztą zawsze liczył się tylko on. Jego kretyńskie marzenia, fantazje. „Wspaniałe życie!” Dla niego życie nigdy nie było dość wspaniałe. Powiem ci coś. – Simone przetyka dzin i cmoka o zęby. – Ludzie niezadowoleni niszczą wszystko wokół siebie.

Aluminiowe półmiski są puste, goście przychodzą pożegnać się z Adèle. „Pani matka musi odpocząć”. „To była piękna uroczystość”. W drodze do drzwi wszyscy rzucają ukradkowe spojrzenie na prochy ojca.

Simone padła na kanapę. Cicho łka, makijaż rozmazał się jej na policzkach. Zdjęła buty i Adèle patrzy na jej pomarszczoną skórę pokrytą ciemnymi plamami. Na czarną sukienkę rozprutą z jednego boku i spiętą dużą agrafką. Płacze, mamrocząc jakąś niezrozumiałą skargę. Robi wrażenie przerażonej.

– Dobrze się rozumieście. Zawsze sprzymierzaliście się przeciwko mnie. Gdyby go nie było, od lat byś tu już nie przyjeżdżała, prawda? Ósmy cud świata! Ciągłe tylko Adèle i Adèle. Wolał myśleć, że dalej jesteś jego grzeczną córeczką. Brał cię w obronę. Był zbyt tchórzliwy, żeby cię ukarać, spojrzeć ci w twarz. Mówił: „Porozmawiaj ze swoją córką, Simone”, i odwracał wzrok. Ale ja się nie dam nabrać. Biedny Richard nic nie widzi. Jest jak twój ojciec, ślepy i naiwny. Mężczyźni nie wiedzą, kim jesteście. Nie chcą wiedzieć. Ja jestem twoją matką, wszystko pamiętam. Sposób, w jaki kręciłaś biodrami, kiedy nie miałaś jeszcze ośmiu lat. Mężczyźni za tobą szaleli. Dorośli rozmawiali o tobie, kiedy jeszcze w ogóle nie powinni byli cię zauważać. Nie wyrażali się zresztą pochlebnie. Byłaś typem dziecka, którego dorośli nie lubią. Już miałaś w sobie zepsucie. Chodząca cnota, hipokrytka pierwszej wody. Możesz już jechać, wiesz? Nie oczekuję od ciebie niczego. A biedny Richard jest taki miły. Nie zasługujesz na niego.

Adèle kładzie rękę na nadgarstku Simone. Chciałaby powiedzieć jej prawdę. Zwierzyć się i liczyć na jej życzliwość. Chciałaby pogłaskać ją po czole, do którego przykleiły się cienkie loczki jak włosy dziecka. W dzieciństwie była dla matki ciężarem, a potem została jej przeciwniczką i nigdy nie było czasu na czułość, łagodność, wyjaśnienia. Nie wie, od czego zacząć. Boi się, że będzie niezręczna i Simone da upust trzydziestu latom urazy i goryczy. Nie chce oglądać ataku hysterii podobnego do tych, które znaczyły jej dzieciństwo, matki z podrapaną twarzą, rozczochranymi włosami, wyrzaskującej pretensje do całego świata. Milczy ze ściśniętym gardłem.

Simone zasypia z otwartymi ustami, otumaniona środkami uspokajającymi. Adèle kończy butelkę dżinu. Dopija resztkę białego wina, które matka zostawiła koło kuchenki. Otwiera okiennice i patrzy przez okno na pusty parking i ogródek z wypaloną trawą. W ponurym mieszkaniu dzieciństwa chwieje się na nogach i obija o ściany. Drżą jej ręce. Chciałaby zasnąć, zamknąć w śnie przepelniającą ją wściekłość. Ale jest jeszcze jasno. Wieczór dopiero się zaczął, a ona wychodzi niepewnym krokiem. Na kredensie w przedpokoju zostawiła kopertę i pomarańczowe pudełko z broszką.

Jedzie autobusem do centrum miasta. Jest piękna pogoda, na ulicach panuje ruch. Turyści robią sobie zdjęcia. Młodzież pije piwo, siedząc na bruku. Adèle liczy kroki, żeby nie upaść. Siada w ogródku kawiarnianym, w słońcu. Chłopczyk na kolanach matki dmuchając w słomkę, robi bańki w szklance coca-coli. Kelner pyta Adèle, czy na kogoś czeka. Przecząco kręci głową. Nie może tu zostać. Zwalnia stolik i wchodzi do baru.

Była tu już kiedyś. Stoliki na antresoli, lepka lada, mała scena w głębi, wszystko to wydaje jej się znajome. Może dlatego, że samo miejsce jest potwornie banalne. Bar pełen hałaśliwych zwyczajnych studentów, oblewających egzaminy i początek wakacji. Nie ma tu nic do roboty i czuje, że barman przygląda się jej podejrzliwie, że zauważył jej drżące ręce i zgaszony wzrok.

Wypija piwo. Jest głodna. Dosiada się do niej chłopak. Młody, chudy, o łagodnych rysach. Ma wygolone skronie i długie włosy przylizane na szczycie głowy. Dużo mówi, ale ona ledwie go słyszy. Rozumie, że jest muzykiem. Że pracuje jako portier w małym hotelu. Opowiada też o swoim dziecku. O kilkumiesięcznym niemowlęciu mieszkającym z matką w mieście, którego nazwy nie udaje się jej zapamiętać. Adèle uśmiecha się, lecz myśli: „Posadź mnie nagą na barze. Chwyć mnie za ramiona, nie pozwól mi się ruszyć, przyciśnij moją twarz do baru”. Wyobraża sobie, jak kolejni mężczyźni wpychają jej penisy do brzucha, obracając ją do przodu i do tyłu, aż wypędzą smutek, aż uciszą ukryty gdzieś w głębi strach. Chciałaby nie musieć nic mówić, oddać się tak jak te dziewczyny, które widziała w Paryżu, z wielbłądzimi oczami przyklejonymi do szyb barów z panienkami. Chciałaby, żeby cała sala piła z niej, pluła na nią, żeby

sięgnięto aż do jej trzewi i wyrwano je, żeby stała się już tylko strzępem martwego ciała.

Wychodzą z baru służbowym wyjściem. Chłopak zwija skręta, podaje jej. A ona tonie w euforii i rozpacz. Zaczyna zdania, których nie kończy. Powtarza: „Zapomniałam, co chciałam powiedzieć”. Pyta jej, czy ma dzieci. Adèle myśli o marynarce, którą zostawiła na fotelu w salonie. Jest jej zimno. Powinna wracać, ale jest tak późno, mieszkanie wydaje się jej tak daleko. Bałaby się iść sama taki kawał drogi. Trzeba będzie zdobyć się na odwagę, zważyć za i przeciw, wykazać się rozsądkiem.

Gdy Richard wszystko odkrył, pomyślała sobie, że w końcu wróci tutaj, do tego miasta, do mieszkania rodziców. Upokorzona, bez nadziei i bez pieniędzy. Drżała na myśl o tym, że znowu będzie spać na końcu korytarza, będzie słyszała godzina po godzinie, jak matka zachrypniętym głosem robi jej wyrzuty i żąda wyjaśnień. Widziała już siebie zwisającą pod sufitem w pokoju, w szpilkach trzymających się z ledwością na palcach u nóg, ze wzrokiem pełnym niebiesko-białej tapety, która do dziś wywołuje u niej koszmary. Z fioletowymi wargami, lekka jak piórko, kołysałyby się nad wąskim łóżkiem i wreszcie udałoby jej się zdusić wstyd.

– Co?

Chłopak rozpaczliwie pragnie rozmowy. Adèle podchodzi do niego i całuje go, przywiera piersiami do jego torsu, z trudem trzymając się na nogach. On łapie ją ze śmiechem. Ona zamyka oczy. Od skręta robi się jej niedobrze, podłoga zaczyna się kołysać.

– Zaraz wracam.

Przechodzi przez salę, starając się głęboko oddychać. W toalecie grupa nastolatek wciśniętych w nylonowe minispódniczki poprawia makijaż. Chichoczą. Adèle kładzie się i unosi nogi do góry. Chciałaby mieć siłę, by pójść na dworzec, wsiąść do pociągu albo rzucić się pod koła. Nade wszystko jednak chce wrócić na wzgórze, do domu z murem pruskim, do olbrzymiej samotności, do Luciena i Richarda. Płacze z policzkiem przyklejonym do kafelków śmierdzących moczem. Płacze, bo do tego powrotu nie jest zdolna.

Wstaje. Wkłada głowę pod kran z zimną wodą. W lustrze ma twarz topielicy. Błada cera, wytrzeszczone oczy, bezkrwiste wargi. Wraca na salę, gdzie nikt nie zwraca na nią uwagi. Ma wrażenie, że unosi się w gęstej mgłę. Grupa podpitych nastolatków trzyma się za ramiona i skacze, wrzeszcząc słowa jakiejś piosenki.

Chłopak klepie ją po ramieniu. Adèle się wzdryga.

– Gdzie byłaś? Wszystko w porządku? Jesteś strasznie blada.

Delikatnie kładzie rękę na jej lodowatym policzku.

Adèle się uśmiecha. Grzecznym pełnym czułości uśmiechem. Lubi tę piosenkę. *You give your hand to me*. Wpada w jego ramiona, pozwala, by niósł ją

rytm muzyki. Chłopak ściska jej zębra wystające mu między palcami. Trzymając ją mocno przy sobie, przesuwa dłońmi po jej nagich ramionach, by ją ogrzać. Ona z zamkniętymi oczami opiera policzek na jego ramieniu. Wolno poruszają nogami, kołyszą się raz w prawo, raz w lewo. Bierze ją za rękę i Adèle otwiera oczy, gdy ją obraca i delikatnie przyciąga do siebie. Uśmiecha się do niego i nuci, przywierając wargami do jego szyi.

Well, you don't know me.

Piosenka się kończy. Tłum wydaje okrzyk, gdy rozbrzmiewa rytmiczna melodia. Ludzie rzucają się na parkiet i rozdzielają ich. Adèle tańczy z zamkniętymi oczami, z rękami na karku. Opuszcza ręce, pieści swoje piersi, zsuwa dłonie niżej, łączy je w pachwinie. Unosi ramiona, poddając się coraz szybszej muzyce. Porusza biodrami, ramionami, głową raz w jedną stronę, raz w drugą. Ogarnia ją fala spokoju. Ma uczucie, że wymyka się światu, przeżywa chwilę łaski. Odnajduje przyjemność, którą odczuwała jako nastolatka, gdy tańczyła godzinami, nieraz sama na parkiecie. Niewinna i piękna. Nie czuła wtedy żadnego skrępowania. Nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia. Oddawała się bez reszty temu, co robiła, i wierzyła w przyszłość, która miała być wspaniała, lepsza, większa, bardziej podniecająca. Teraz Richard i Lucien są już tylko zamazanymi wspomnieniami, nierealnymi wspomnieniami, które roztapiają się wolno, a potem znikają.

Kręci się wokół własnej osi, nie zważając na zawroty głowy. Z przymkniętymi oczami dostrzega w ciemnej sali błyski światła, które pomagają jej zachować równowagę. Chciałaby zanurkować w głąb tej samotności, ale wyrwają ją z niej, ciągną do siebie, nie pozwalają. Ktoś łapie ją od tyłu, Adèle ociera się pośladkami o czyjś członek. Nie słyszy lubieżnych śmiechów. Nie widzi spojrzeń wymienianych przez mężczyzn, którzy przekazują ją sobie z rąk do rąk, przyciskają do siebie, trochę sobie z niej kpią. Ona też się śmieje.

Gdy otwiera oczy, miłego chłopca nie ma.

Czekał na peronie. Nie przyjechała pociągiem o piętnastej dwadzieścia pięć. Ani o siedemnastej dwanaście. Zadzwoił na komórkę. Nie odebrała. Wypił trzy kawy, kupił gazetę. Uśmiechnął się do dwóch pacjentów, którzy wsiadali do pociągu i spytali, na kogo czeka. O dziewiętnastej Richard opuszcza dworzec. Wstrzymuje oddech przerażony nieobecnością Adèle, nic nie jest w stanie oderwać jego myśli od tego lęku.

Wraca do kliniki, ale poczekalnia jest pusta. Żadnego niespodziewanego pacjenta, którym mógłby się zająć. Przegląda karty, lecz jest za bardzo zdenerwowany, by pracować. Nie wyobraża sobie, że spędzi tę noc bez niej. Nie może uwierzyć, że nie wróci. Dzwoni do sąsiadki. Kłamie, mówi, że zdarzył się nagły przypadek, i prosi, by została popilnować Luciena.

Idzie do restauracji, gdzie czekają na niego koledzy. Robert, dentysta, Bertrand, pracownik biurowy. I Denis, o którym nikt nie wie dokładnie, czym się w życiu zajmuje. Dotychczas Richard zawsze unikał paczek. Nigdy nie miał instynktu stadnego. Już na medycynie trzymał się nieco z dala od innych studentów. Nie lubił pieprznych żartów w dyżurkach. Drażniły go opowieści kolegów, którzy chwalili się, że przespali się z pielęgniarką. Uciekał przed łatwym próżnym współnictwem mężczyzn, które zawsze kręci się wokół zdobywania kobiet.

Jest bardzo ciepło, koledzy czekają na niego w ogródku. Wypili już kilka butelek różowego wina, więc Richard zamawia whisky, żeby nie zostać z tyłu. Jest zdenerwowany, zniecierpliwiony, nie w sosie. Ma ochotę z kimś się posprzeczać, wyładować. Ale koledzy nie dają mu do tego żadnego pretekstu. Są ciężcy, banalni, bezużyteczni. Robert, który mówi o kosztach prowadzenia gabinetu i podatkach, przywołuje go na świadka. „Wykańczają nas przecież. Prawda, Richard?” Bertrand spokojnym pobłażliwym tonem wygłasza mowę na temat niezbędnej solidarności, bez której nasz model społeczny poszedłby na dno. A Denis, który jest miły, tak, Denis powtarza: „Ale właściwie mówicie to samo. Obaj macie rację”.

Pod koniec kolacji Richardowi drży szczęka. Upił się na smutno i nostalgicznie. Chce mu się płakać, najchętniej uciałby rozmowę. Leży przed nim komórka i mężczyzna wzdryga się, gdy tylko ekran się zapala. Ona nie dzwoni. Wstaje od stołu przed digestifem. Robert rzuca jakąś uwagę na temat urody Adèle i tego, jak Richardowi spieszno do domu. Richard uśmiecha się, mruga porozumiewawczo i wychodzi z restauracji. Chętnie wyrzwałby tego głupka z grubymi wargami pięścią w twarz. Jakby można było czerpać dumę z tego, że wraca się do domu, by przelecieć żonę.

Jedzie szybko po śliskiej szosie. Noc jest ciepła, z oddali słychać rzenie koni przestraszonych burzą. Parkuje. Siedząc w samochodzie, patrzy na dom. Na zniszczone futryny na elewacji. Na drewnianą ławkę i stół śniadaniowy. Na

wzgórza, wśród których niczym w gnieździe jest ukryty dom. Ten dom wybrał dla niej. Adèle nie musi się niczym martwić. Kazał naprawić trzaskającą okiennicę, posadził aleję lipową w małym ogrodzie.

Tak jak wtedy, gdy był dzieckiem, zakłada się z samym sobą. Obiecuje. Przysięga, że jeżeli ona wróci, wszystko będzie inaczej. Nie zostawi jej już samej. Przerwie panujące w domu milczenie. Przyciągnie ją do siebie, opowie jej wszystko, a potem jej wysłucha. Nie będzie chował urazy ani żalu. Uda, że się nie domyślił. Powie, uśmiechając się: „Spóźniłaś się na pociąg?”, a potem zmieni temat i sprawa pójdzie w zapomnienie.

Może to złudzenie, ale jest pewien, że Adèle nigdy nie była równie piękna jak teraz. Odkąd wyjechali z Paryża, na jej twarzy maluje się oszołomienie, bezgraniczne zdziwienie, które rozświecła jej wzrok. Nie ma już podkrążonych oczu, zrobiły się większe. Jej powieki są rozległe jak parkiet taneczny. W nocy śpi spokojnie. Snem bez problemów i tajemnic. I mówi, że śnią się jej pola kukurydzy, działnice domków jednorodzinnych, place zabaw dla dzieci. Richard nie ma odwagi zapytać: „Czy śni ci się jeszcze morze?”.

Nigdy jej nie dotyka, ale zna jej ciało na pamięć. Codziennie bada ją wzrokiem. Jej kolana, łokcie, kostki. Adèle nie ma już siniaków. Na próżno ich szuka, jej skóra jest gładka, równie blada jak mury w miasteczku. Nie ma nic do opowiedzenia. Adèle nie uderza się już o ramę łóżka. Jej plecy nie ocierają się o tanie wykładziny. Nie chowa guzów pod kosmykami włosów. Adèle utyla. Richard odgaduje, że pod letnimi sukienkami pośladki ma zaokrąglone, brzuch pełniejszy, skórę nie tak napiętą, łatwiej można ją chwycić.

Richard jej pragnie. Cały czas. To brutalne, egoistyczne pożądanie. Często chciałby wykonać jakiś ruch, wyciągnąć do niej rękę, ale stoi w miejscu zmieszany, nieruchomy. Kładzie rękę na członku, jak kładzie się rękę na ustach dziecka, które chce krzyknąć.

A przecież chciałby łkać na jej piersiach. Wczepić się w jej skórę. Położyć głowę na jej kolanach i dać się jej pocieszyć po wielkiej zdradzonej miłości. Pożąda jej, ale słyszy. Słyszy kroki mężczyzn, którzy ją podeptali. To go odstręcza, przesładuje. Ten posuwisty ruch, który nie chce ustać, który donikąd nie prowadzi, ocierające się o siebie ciała, sflaczałe uda, oczy zachodzące mgłą. Ten posuwisty ruch regularny jak ciosy, jak daremne poszukiwanie, jak chęć wyrwania z niej krzyku, łkania, które śpi głęboko i od którego drży całe otoczenie. Ten posuwisty ruch, który nigdy nie ogranicza się tylko do siebie, zawsze jest obietnicą innego życia, obietnicą piękna i czułości.

Wychodzi z samochodu i idzie w stronę domu. Jest pijany, trochę go mdli, siada na ławce. Szuka w kieszeniach paczki papierosów. Bezskutecznie. Zawsze pali jej papierosy. Ona nie może odejść. Nie może ich zostawić. Nie zdradza się tego, kto ci przebaczył. Pociąga nosem na myśl o tym, że wróci do domu sam

i będzie musiał odpowiedzieć coś Lucienowi, który spyta: „A gdzie mamusia? Kiedy wróci?”.

Pojedzie po nią i znajdzie ją. Przywiezie ją z powrotem. Nie spuści jej już z oczu. Będą mieli drugie dziecko, małą dziewczynkę, która odziedziczy oczy po matce, a po nim mocne serce. Dziewczynkę, którą on się zajmie, a ona ją pokocha szaleńczą miłością. Może nawet któregoś dnia ona będzie w stanie zadowolić się banalnymi zajęciami, a on będzie szczęśliwy, tak szczęśliwy, że będzie umierał ze szczęścia, gdy ona zapragnie zmienić wystrój salonu, gdy będzie godzinami wybierać nową tapetę do pokoju małej. Gdy będzie za dużo mówić, gdy będzie kaprysić.

Adèle się zestarzeje. Włosy jej posiwieją. Zaczną wypadać rzęsy. Nikt jej już nie zobaczy. Będzie ją trzymał za nadgarstek. Włoczy jej twarz w codzienność. Będzie ją włókł za sobą, w kurzu swoich kroków, nie puści jej, gdy będzie się bała pustki i będzie chciała upaść. I pewnego dnia na jej pergaminowej skórze, na jej pooranym policzkułoży pocałunek. Rozbierze ją. I nie będzie już słyszał w łonie żony innych ech prócz odgłosu pulsującej krwi.

A ona się podda. Położy drżącą głowę na jego ramieniu, on zaś poczuje cały ciężar ciała, które rzuciło kotwicę. Będzie na nim sadziła kwiatki cementarne, całymi pękami, a bliżej śmierci robi się bardziej czuła. Adèle odpocznie jutro. I z kośćmi toczonymi przez robaki, zeszywniałymi stawami, będzie się kochała. Będzie się kochała jak biedna staruszka, która jeszcze w coś wierzy, zamyka oczy i nie mówi już nic.

To się nigdy nie kończy, Adèle. Nie, to się nigdy nie kończy. Miłość to tylko cierpliwość. Nabożna, zajadła, bezwzględna cierpliwość. Absurdalnie optymistyczna cierpliwość.

Jeszcze nie koniec z nami.

¹ Przeł. A. Holland.

